
S. P. R. A.
1936 1937

ROCZNIK SPRA 1936 - 1937


Biblioteka Jagiellońska
1003159811

202978

II

1936/1937

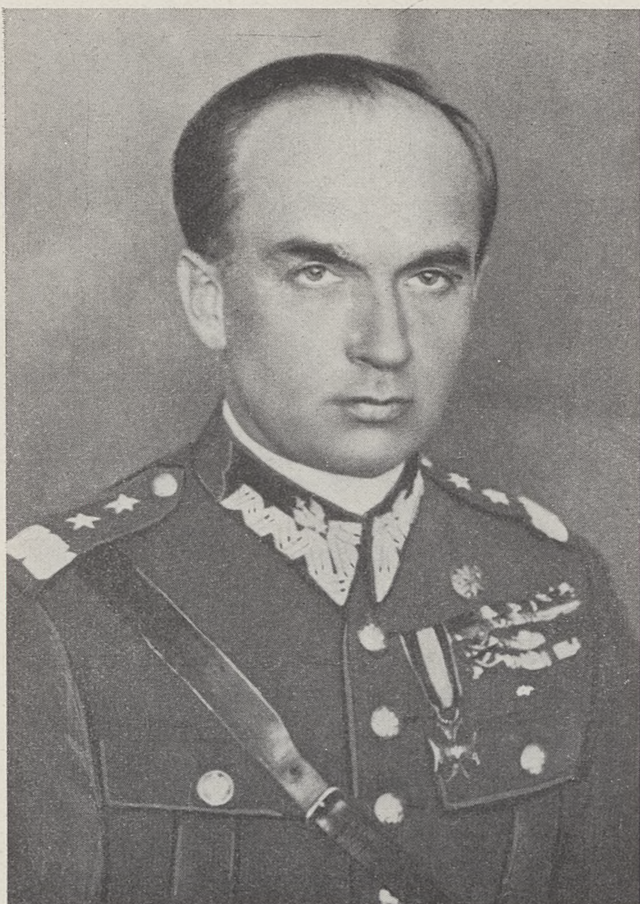




Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej prof. dr. Ignacy Mościcki



Marszałek Edward Śmigły-Rydz



Minister Spraw Wojskowych
gen. dyw. Tadeusz Kasprzycki



Szef Depart. Artylerii Min. Spraw Wojsk.
gen. bryg. Leopold Cehak

S PRA

REDAKTOR NACZELNY

POR. ALEKSANDER JANKOWSKI

KOMITET REDAKCYJNY

JERZY GADOWSKI
JERZY PIECHOCKI
EDWARD SŁOTA



Komedant S. P. R. A., pułk. mgr. Jan Filipowicz

Czerwony Bóg

Na niebie snują się zwały chmur
I głuchy pomruk burzy
...z akordem podmuchu...
Czeka na chwilę walki
...zamarły w bezruchu...
A Mars — bóg wojny...
...w welonie mgieł,
Napawa swe oczy widokiem —
Dostojnym w treść
Bogatym w sens —
Bagnetów...
...stojących czworobokiem.
Tam błyśnie stal
I słychać głos komendy
...nerwowy ...gorący
I słychać nóg
miarowy
stuk
rytmem żołnierskim płynący.
A z duszy wypływa żal
Choć niemy lecz pełen mów...
Porywa serca okute w stal
Chce walczyć...
cicho...
...bez słów
Wtem Mars swe moce znów na świat rzucił
Uśpił lęk serca
Uśpił żal tępy
...i pieśń wojenną zanucił —
Pieśń co wulkanem zapala duszę.
Pieśń co porywa swym czarem.
Pieśń która dźwięczy w armatnim huku
owija się z krwi oparem.
Krew w skroń uderza jak młotem...
Powietrza chce pierś spragniona,
Lecz serce...
...przebite marsowym grotem
Walka już cichnie...
...pieśń wojny skończona.



Akordy bateryjne

— Kiedy
żagiew wystrzału draśnie kryształowe niebo
pocisk rozpruje kopułę — świdrem — — —
...zagwiżdże stalowa mucha
zawiruje w szatańskim tańcu...
i — gdy
zgięta łbem na dół

osiądzie na szachownicy pól — — —
na łąkach dźwięczących trawiastym życiem...

— — — — — — — — — —

Pęka — ogniowa rakieta! — —
brzoza pochodnią świeci
pęka — kamienna skorupa
ziemia w pióropusz zakwita — —

— — — — — — — — — —

czarny — ziemisty — gejzer
wstaje jak upiór — i znika —

— — — — — — — — — —

tylko wiatr —
dumnie potrząsa buńczukiem
rozchełstanego dymu
tylko szmer — —
opadającego szutru
ostatnie westchnienie — —
— — o ziemio!? — —

— — — — — — — — — —

Zimny krzyż tropiący — nieubłagany
tak — ma — — (znów w sieci)
I — — —
człowiek — automat w stalowym hełmie
rzekł: (...w prawo dwadzieścia...).

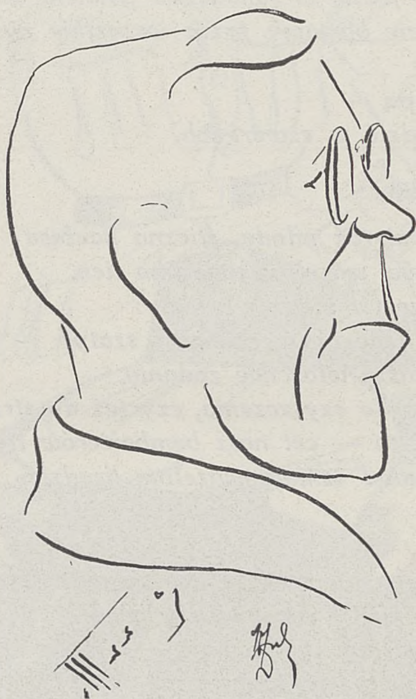
bomb. z c. Lau

Z bajek Krasickiego

Był wódz, który nigdy raportem nie karał,
O urlopy co miesiąc dla wszystkich się starał.
Był dowódca oddziału, świetny wykładowca,
Który nie żył z swym ludem tak jak wilk i owca.
Był służbowy, co zbiórkę bez „rozejść się" robił
I były repetycje, gdzie pytano „zgadnij".
Był bombardier co wszystko i zawsze miał czyste
I było mięso na obiad podane soczyste.
Były dni bez szarugi, gdy świeciło słońce,
Była zbiórka co miała wyrównane końce.
Niedziela była bez szafek przeglądu,
Wcinanie wstecz raz było zupełnie bez błędu.

Był przy strzelaniu inny zapalnik niż „krótki“,
Był czysty stolik, przepustka bez wódki.
Był plutonowy, który mówił z cicha,
Nie klął i słów frywolnych unikał jak licha.
Była izba chorych, co prócz aspiryny
Miała nawet w użyciu sporo terpentyny.
Nikogo nie wysyłała w niebieskie zaświaty,
Nie leczyła czyraków smarem od armaty.
Był budynek z zegarem, w którym od miesiąca
Prócz szkolnej warty, nie mieszkał nikt więcej.
I sieć dróg dookoła pięknie brukowana,
Gdzie błoto nie sięgało nawet do kolana.
Było tak gdzieś — kiedyś — bardzo to być może,
Lecz ja to wszystko między bajki włożę.

FARSOWICKI



Bajki i Fraszki

Żołnierz i natręci.

Że zamknięty w areszcie niewygodnie siedział
żałowano żołnierza — ten im odpowiedział:
Nie rońcie łez nade mną, nie smućcie się wiele —
wolę me twarde łoże, niż wasze apele.

Z psiego punktu widzenia.

Spotkały się pod działownią
Psy z podchorążówki —
Tędy, owędy
Zaczęły się gawędy:
Że żywot psi,
że smutno
że mało jeść dają,
jamniczka: że wciąż zimno —
wilk: że go bombardierzy
brzydko nazywają.
Szczeknął: jedno ci jamniczko powiem —
My dowolnie biegamy przez wszystkie podwórka,
a oni —
wskazał łapą —
muszą chodzić w czwórkach.

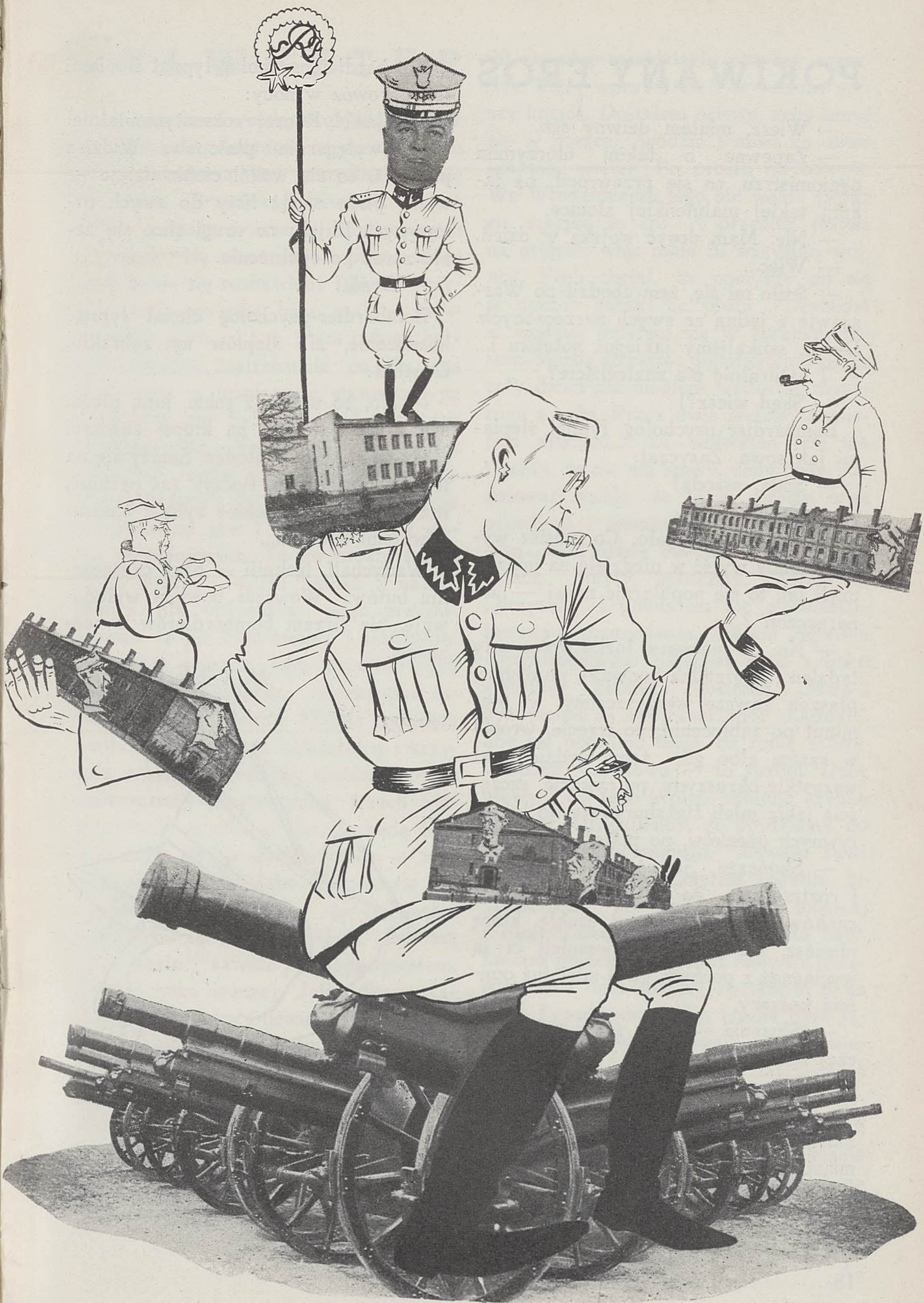
W działowni.

W działowni raz młoda, śliczna haubica
gdy jej znów wazeliną umazano lica,
spytała starej i mądrej armaty:
Czemu gorliwie czyszczą nasze szaty?
Jakie są nasze właściwe zadania,
Czy służym do czyszczenia, czy też do strzelania?
Armata na to — cel nasz bombarierów trudzić,
a czyste dotąd szmaty wazeliną brudzić.

Na konia.

Koń z daleka, to zwierzę bardzo miłe, żywe,
Ma piękne nogi i wspaniałą grzywę,
Lecz gdy na nim już siedzisz —
Wnet zmienisz swe zdanie,
Kiedy ci bez strzemion dadzą kłusowanie.

FARSOWICKI



POKIWANY EROS

— Wiesz, miałem dziwny sen.

— Zapewne o takim olbrzymim ogniomistrzu, co się przewrócił, na takiej, takiej maluteńkiej słomce.

— Nie. Mam dosyć wojska w dzień.

— Więc...

— Śniło mi się, żem chodził po Warszawie z jedną ze swych narzeczonych. Długo, szukaliśmy jakiegoś hoteliku i...

— I naturalnie nie znaleźliście?

— Skąd wiesz?!

Bombardier psycholog łypnął ślepiami jak sowa. Zasyczał:

— Soda, sssoda!

— Racja!

Ale to jeszcze mało. Co musisz wypełnić, aby wyjść w niedzielę na miasto, czyli jak to się popularnie mówi — „do narzeczon"?

— No, po pierwsze, łóżko przez cały tydzień jak grządka konwalij, po drugie, płaszcz zawsze wyczyszczony w pięć minut po zabłoceniu, po trzecie, wróbel w szafce albo gil, żeby wydziobywał wszystkie okruszyny, po czwarte, szczęście jakie mieli Habsburgowie do lukratywnych ożenków, po piąte...

— Skończże, jesteś tak przesadny i roztrzepany, że do niezbędnych warunków wliczysz również szablę, którą niesiesz, bo koledzy zapomnieli ci ją wyciągnąć z pochwy, gdyś miał już opuścić koszary.

— Słusznie — takie żarty to z samczej zazdrości.

— Przypuśćmy. Na razie doszliśmy do tego, że wielu trudnym warunkom musi podołać ten, kto chce wyjść do miasta na randkę. Czemu to sprzyja?

— Przyczynia się do utrzymania karności.

Bombardier-psycholog łypnął ślepiami jak parowóz w nocy:

— Ejże?! Raczej rozsentymentalnia. Taka wylęgarnia platonów. Widzisz przecież, co się wokół ciebie dzieje — wiara pisze wciąż listy do swych urlopowych lilijek; co drugi chce się żenić zaraz po odsłużeniu.

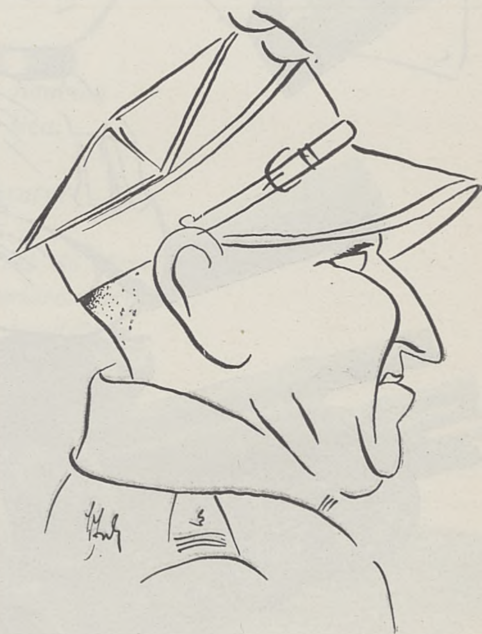
— Cynik!

Bombardier-psycholog chciał łypnąć kosmicznie, ale ślepiów mu zabrakło. Gruchał:

— No, bo wyobraź sobie, lato, plaża, świat jak patelnia, na której skwierci olbrzymie jajko — słońce. Smaży się na tłuściutkim boczku. Boczek zaś pachnie, tuż obok ciebie pachnie rybą i kasztanowatemi włosami...

Wzdychali, tęsknili — przy czyszczeniu butów. Wówczas bowiem wyładowuje się liryzm bombardierów z cenzusem.

M. Krawczyński
bomb. z c.



SYLWESTER

Jest jeszcze kwestią względną, ale jak się już kiedy zdecyduję na syna, to dam mu z pewnością, bez namysłu, na imię Sylwester. Przecież Sylwester, to jest jedno z najprzyjemniej dźwięczących wyrażeń. Na samo już to słowo człowiek czuje się rozbawiony i przed oczyma wirują mu sale, bale, toalety, piękne damy, 45%... i t. p. Mam jednak bardzo poważne zastrzeżenie co do tego Sylwestra, a mianowicie stanowczo za mało jest, aby Sylwester był tylko raz w ciągu roku. Takich zaś jak na ten przykład Janów czy Franciszków po kilka. Przecież tu jaskrawa protekcja wychodzi na jaw i faworyzowanie wyżej wymienionych. To po prostu hańba 20-go wieku. Jestem jednak z natury rzeczy już optymistą, więc przypuszczam, że ten błąd historii i niedbałość przodków naszych, jaką popełnili przy układaniu kalendarza, naprawione zostaną w tym nowym 13-tym miesiącu nowoorganizowanego kalendarza i krzywda nasza nagrodzona zostanie przez umieszczenie przynajmniej trzech Sylwestrów. Pomyśleć o tym, że będą trzy Sylwestry. Być w wojsku wtedy — trzy urlopy. Czuję się słabo. Tak mi się już zawsze dotąd składało, że Sylwestra spędzałem na jakimś „Fifie", czy też „kinderbalu", zawsze gdzieś bywałem. W tym roku inaczej. Jak tylko wylazłem spod kołdry i uświadomiłem sobie, że dziś jest Sylwester, moje gołębie serce ogarnęła trwoga. Gdzie pójść? Tu nie można, tam nie wolno, tu za drogo, tam znów... Bo ja wiem? Od ciągłego drapania po łysinie głowa mnie rozbolała strasznie. W zębach wieje, przeciąg — dziur pełno. Nadomiar jeszcze tego zdarzył mi się nieprzewidzianie przykry wypadek, który wprawił mnie w jeszcze gorszy humor. Dostałem ochoty, żeby umyć się w gorącej wodzie i mieć na sobie koszulę, sweter. Po prostu na odwrót. We Włodzimierzu tego nie wolno (wodę się szarpie za to). A przecież jestem na urlopie, więc mnie tu wszystko wolno. Pech chciał, że pomyliły mi się w oczach garnki na piecu i zamiast w wodzie, umyłem się w gorącym rosole. Mordę strasznie poparzyłem i przez cały dzień nie mogłem wydostać makaronu z ucha. Przez dwie godziny musiałem słuchać... że wołowina jest tak twarda, że nie ma mowy, żeby drugi raz gotować rosół, że to po prostu brak orientacji i wyszkolenia myć się obiadem... taki dobry makaron... na samych jajach. Zmyty, spłukany, siadłem na „przyzbie" i poddałem się ciężkokalibrowemu rozmyślaniu. Wtem zupełnie niespodziewanie najechał mnie z boku poczciwy Leonek, kochana „Mela". Przyjechał na swej kasztance „Ładnej", aby się poradzić mnie, co robić z Sylwestrem. Co głowa — to rozum. Dwie głowy i do tego krótko ogolone szybko myślały. Uradziliśmy, że pójdziemy do kasyna podoficerskiego. Zawsze swój do swego ciągnie. Zażyłem kogutka, bo „pierońskie" kły bolały coraz mocniej i rozpocząłem przygotowania do balu. Leonek pojechał do domu, żeby się przygotować i mieliśmy się spotkać o 8 na rogu. Przede wszystkim trzeba było jakoś mordę uporządkować, bo czerwieniła się jak dziewica. Wziąłem więc mąki najprzedniejszego gatunku i nałożyłem dość grubą warstwę. Po chwili spostrzegłem, że po każdym skręcie głowy mąka, jak z fontanny leci na spodnie. Musiałem więc na warstwę mą-

ki nałożyć warstwę kremu. Kremu jednak nie miałem dużo, nie starczyło by mi na całą gębę. Natarłem więc jedną połowę kremem, a drugą masłem. Po tej kosmetycznej operacji wziąłem się do szabelki. Wytarłem na sucho, poostrzyłem na pasku. Trochę tępa. Mówią, że rodzonemu ojcu można po gardle pojeździć. Mówi się trudno. Dla pewności wezmę brzytwę do kieszeni. Z goleniem zawsze miałem dużo kłopotu. W Sylwestra oczywiście więcej, bo to człowiek zawsze trochę podniecony. Tegoroczny Sylwester był jednak wyjątkowo kłopotliwy. Zaczęło się od tego, że w tym czasie, kiedy rozrabiałem mydło w miseczce, mój zacny braciszek ostrzył sobie ołówek tą brzytwą, którą się miałem za chwilę golić. Spostrzegłem, no i oczywiście na takie barbarzyństwo musiałem jak najostrzej zareagować. Kopnąłem go w siedzenie tak, że się wywrócił. Rozpoczął się bój spotkaniowy. Bratobójczy bój. Zwyciężyłem po 2-godzinnej walce na punkty. Rozpocząłem się golić. Goliłem się tylko godzinę. Brzytwa była tępa i musiałem ją stale ostrzyć na pasku. W końcu zerwał mi się. Chciałem związać — za krótki. Nie będę miał teraz czym spodni podtrzymać. Postanowiłem zmienić onuce, bo czułem, że w butach wilgotno. Zdjąłem buty (15 minut trwało). Wyciągam z walizki czyste. Zabrałem ze sobą cztery pary. Rozwijam i wszystkie cztery pary wielkości chusteczki od nosa, strasznie dziurawe. Nawet dużego palca nie owinąłem. Jest już godzina 19,30. Za pół godziny zbiórka na rogu, a ja boso, bez spodni, buty nie wyczyszczone, ostrogi brudne. Cholera mnie bierze. Nie tracę jeszcze zimnej krwi (zaleta dobrych generałów). Zmarszczyłem srogo brwi i myśląc przez chwilę powziąłem stanowczą decyzję. Zrobiłem alarm całej rodziny w pełnym oporządzeniu (7 osób: 5 płci męskiej i 2 płci żeńskiej). Rozdzieliłem pracę i pod groźbą pozostania jeszcze 2 tygodnie w domu na urlopie, zmusiłem wszystkich do sumiennej pracy nad moim oporządzeniem. Powiedziałem jeszcze, że od jutra zacznę się myć w zupie pomidorowej. Poskutkowało. Z uderzeniem zegara o godzinie 20 stanąłem w całej swej okazałości. Wyglancowany, wypastowany, manicure, pedicure i t. d. Wszystko było. W kieszeni co prawda nie nadzwyczajnie. Przeliczyłem jeszcze raz: dokładnie 6 zł 32 gr. Poszliśmy.

Sala balowa pięknie udekorowana. Niczego sobie. Mnogość mundurów wojskowych oszołomiła nas z początku. Z jedną belką nikogo nie widziałem. Najmniej już każdy miał dwie. Czuliśmy się trochę nietęgo. Zwiedzając poszczególne sale, trafiliśmy do jednej, gdzie było płukanie gardziołków. Zrobiliśmy krótki odpoczynek. Moja największa choroba — to soliter, to jest moje nieszczęście. Leon powiada, że też ma robaka. Trzeba go zalać, to już trudno. Ratuj zdrowie póki czas, panie, ten — dwie. Działanie lekarstwa natychmiastowe — humor wzrasta. Jakiś cywil z lekka zawiany przysiadł się do nas. Panowie z Włodzimierza? Panie, ja też tam byłem, trzy lata temu. — Ober — trzy. Albo nie... buteleczkę. Proszę, niech panowie zapalą. Dziękuję. No i co tam słychać? Jak tam, Szypuliński jest? Błoch też? Tak, tak, Bona owszem, ale te żydy, panie. Ober — jeszcze raz. Przepraszamy pana, ale rozumie pan, zabawa, obowiązki. Właści-









wie pan musi rozumieć. Pan służył przecież we Włodzimierzu. Pan wie, że urlop — to trzeba bawić się, tańczyć. Idziemy tańczyć. Szarży już dobrze nie poznaję. W ogóle żadnych belek ani gwiazdek nie widać. Ucho mi krwawi. Pokaleczyłem widelcem. Bo nie mogę, cholera, tego makaronu wydostać. Takie cienkie nitki wpadły i siedzą. Z przyjemnością w oku stwierdzam, że Leonek siedzi w towarzystwie kilku dam. Zalany w pestkę głośno rozprawia, pomagając sobie ręką i nogą. Ależ moja pani, armata — to nie krowa, bykiem jej nie nastraszy się. Przepraszam pana, ale ja... Co tam ja i co tam pani przeprasza? Tu np. nie ma przepraszam, w wojsku jest rozkaz i szlus. Widzę, że źle się robi. Pchnięty siłą gazów dochodzę do tego towarzystwa i chcę sprowadzić rozmowę na jakiś swobodniejszy temat. Zacząłem coś o miłości, ale Leon przerwał mi w tej chwili: e, szwagier, co ty tam o miłości zawalasz. Powiedz coś panience o sobie. Musiałem wziąć go szturmem do bufetu, bo stawał się niemożliwy w damskim gronie. Po jednym uspokoił się. Zabawa wre w całej pełni. Mówią, że kryzys. Owszem. Ale nie na zabawy. Przyszła godzina 24. Dwunasta w nocy. Nadchodzi nowy rok. Ludziska ściskają się i całują, życząc sobie pomyślności w tym nowym łońskim roku. Młode damy rzucają się na szyję kawalerom. Widzę to z daelka, z bufetu, więc staram się w tym czasie ogólnego całowania znaleźć wśród młodych. Pcham się w tę stronę, ale nim się przecisnąłem do nich, byłem kompletnie wyczerpany. Ciotka Praksia, mojej matki brata teściowa, i jeszcze jakaś bliższa krewniaczka, siostry ojczyma, mojej bratowej dostały mnie w swoje ręce. Jak mnie zaczęły ściskać, całować i gadać, niby życząc, że to ojciec takiego syna wychowali, że to pociecha — o święty Sylwetrze, zlituj się nade mną. Wyrwałem się z tych objęć, ale już przestali się całować. Oprócz mnie jeszcze jakiś kapral z artylerii nadbrzeżnej spóźnił się na to całowanie młodych i wpadł z takim impetem na mnie, że o mało mnie nie wywrócił. Pocałowaliśmy się sami. Bez łaski, myślę

sobie, spoglądając na damę i p. kaprala. Zaczęli znów tańczyć. Biorę jakąś korpulentną, bo po tych twardych łożach wojskowych czuję wstręt do wszystkiego, co twarde i chude. Wyginam ją, przeginam, bo przecież tango grają. Panna ma niewyraźną minę, ale trudno — tango grają. Naraz spostrzegłem Leona. Rozglądał się wokół. Widocznie mnie szukał. Psyknąłem na niego. Przybiegł zdyszany. Szwagier — powiada — choć szybko, zostaw tę damę i chodź, mam kanarka. Co, kanarka? Tę poczciwą, żółtą ptaszynę? No tak, chodź prędko. W tamtym pokoju siedzi. Bierz coś do łapania. Wziąłem co było najbliżej pod ręką — to znaczy szal tej korpulentnej damy i wio, za Leonem. Leon miał jakiś płaszcz ogromny. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami jakiego saloniku. To tu, szwagier, siedzi ten kanarek. Ten cywil mi mówił. Na pewno komuś uciekł. Możliwe — myślę sobie — teraz uciekają przecież. Wykalkulowałem sobie już nawet, ile to będzie można nagrody dostać, za takiego rasowego kanarka. I że to musi być chyba samiec. Nieporozumienie małżeńskie. Przyczailiśmy się i na komendę Leona gwałtownie skoczyliśmy do pokoju. — Pamiętam, że rzuciliśmy się razem w róg pokoju, skąd dochodziło kwilenie. Co potem? — nie wiem. Obudziłem się w ciemnym, mało wytwornym salonie z kratkami Obok mnie — Leon. — Szwagier — wiesz — to był rzeczywiście kanarek, ale nie taki, jak myśleliśmy. To był kanarek z dwiema belkami. A no tak, z dwiema belkami był i z panną. Ale zgadłem, że samiec.

(—) Brat Hieronim





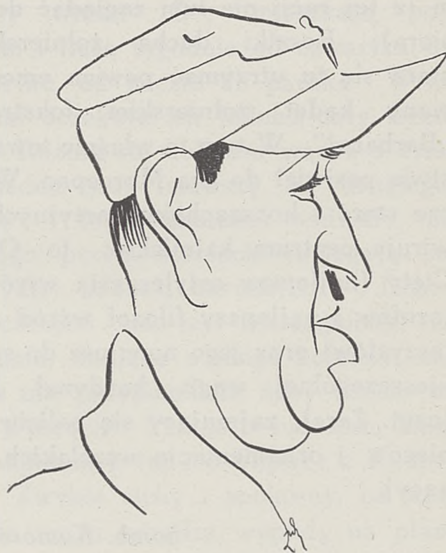
PIERWSZY ZASTĘP

Pierwszy zastęp jest oczkiem w głowie p. st. ogniomistrza, który mu często zezwala siedzieć, gdy inni muszą stać. Jak każda społeczność dzieli się zastęp na partie. Prym wiedzie partia Starych Hulaków o zabarwieniu faszystowskim (czarne koszule). Rekrutuje się ona z pierwoludów, powywlekanych przez P.K.U. z mateczników litewskich. Mimo tężyzny fizycznej, nie odegraliby oni żadnej roli ze względu na parafiaskńi sposób bytowania (w lesie się chowali). Jednakże niespożytą ich energię wykorzystać potrafił mąż słusznego wzrostu, o kulturze zachodniej i długich kończynach, zwany Jerzym Mocnym (z gdańska — Sztark). To też vis maior, (zwana tu: ka i tan) mianowała go kanclerzem) t. zn. miał passe partout do kancelarii, a stąd i do wszelakich przywilejów dla partii). Z podległych mu indywiduów znany jest Gieniek (zdrobniale od geniusz), najbardziej z nich może otarty w świecie (lubi gdańskie wódki), stąd masztalerzem głównym mianowany (specjalność: oficerskie koniki i koniaki). Wspomnieć też należy o dwóch tercjarzach z partii Mołodeczno: zwinnym Gusiu i pięknym Heniu. Gucia nosi tytuł koniuszego (uwodzi konie ze stajni oficerskiej, złośilwi twierdzą, że na jarmark). Nie widząc nic poza końskim ogonem, nie miał możności wykazać swego sprytu w innych dziedzinach. Piękny Henio jest wyróżniany przez kobiety i przełożonych, którzy mu nawet czasem, jako pistoletowi, poruczają takie funkcje, jak odniesienie łącznicy do kancelarii, o czym niezwłocznie pisze do domu. Tytuł podczaszego partii nosi niejaki Marianek (w cywilu kuł kozy w Pacanowie). Jest to spiritus movens wszelakich seansów spirytualistycznych, organizowanych przez partię, po których zawsze leży pod stołem, a stąd projektowana dlań godność podstolego. Jako komendant partyjnej bojówki balowej upamiętnia wszędzie jej występy, czem spowodował bunt ciurów sprzątających. Teoretykiem partii jest pewna tajemnicza postać, zwana „ciocią Pi" (z grecka, bo w dysputach partyjnych udaje greka). Credo partyjne ma ona zawrzeć w zbiorze pamfletów p. t. „Przede wszystkim chodzi o to". Jak na podeszły wiek, odznacza się ona kwitnącą cerą, dzięki staroegipskiej sztuce balsamowania się,





jaką poznała, będąc — według czynników miarodajnych — z zawodu archeologiem. Jest również ona dzielną amazonką (na trzeciego maja demonstrowała zmianę nogi w kłusie, z równoczesnym manewrem dolną szczęką). Z kolei wymienić trzeba Lewiatana czyli partię obszarników, zwanych Soidlerowcami od nazwiska przywódcy. Osobistość to znana ze swego antysemityzmu, którym natchnąć potrafi najneutralniejszych, dzięki sarmackiemu zarysowi swego nosa. W cywilu studiował S.G.H., stąd spryt handlowy dopomógł mu w założeniu świetnie prosperującej spółki żywnościowej, w której prawą ręką jest mu niejaki Adasz z przydomkiem Swarliwy. Ciągłe waśnie, tryskające z wiecznie pytlujących jadaczek tych dwu udziałowców, ogłuszają do tego stopnia trzeciego akcjonariusza, zwanego Jędruszem, że ten z rezygnacją głuchoniemego oddaje im swe udziały (szynki i sery), nucąc desperacko „Pieśń dziada sokalskiego". Seidlerowcy mieli zrazu wpływy, utrzymując przyjazne stosunki z partią Starych Hulaków. Ich niezrozumiałe jednak dla pospólstwa taktyczne posunięcia spowodowały wrzenie wśród faszystów, którzy pewnej listopadowej nocy dokonali zamachu stanu na szefa partii Seidlerowców w imię ideologii koca, okrzyknąwszy kanclerza dyktatorem Primo de Locata. Szef Seidlerowców przechodzi odtąd do historii jako jedna z najtragiczniejszych postaci i to bynajmniej nie w ciemię bita. Sztucznym zlepkiem jest partia Popularów, której hasłem jest: panem et circenses, igrzysk i chleba. Najtęższy łeb w tym odłamie posiada Wajnsztek z Będzina. Jego jędrny, śląski Leksykon stanął nawet na



usługach „propagandy", wynosząc go na stanowisko pierwszego prezesa Towarzystwa Zachęty do Czyszczenia Koni. Występuje też jako tenor bohaterski. Jego solowe pohukiwania „Na bój" na bój" budziły znienacka z najgłębszego snu najgorliwszych uczestników akademij lokalnych. Drugim rzecznikiem tej partii jest przedstawiciel proletariatu fabrycznego ze Szwederowa (apaszowska dzielnica Bydgoszczy), znany z tego, że pierwszy wprowadził harmonię w pożycie partyjne. Trzecia postać, to przedstawiciel proletariatu wiejskiego — zwany Małorolnym. Poczciwy ten kmiotek o pucułowatym obliczu i uśmiechu agrarnym, budzi zamiłowanie do sztuki ludowej. Wspomnieć wreszcie należy o partii Młodocianych Lowelasów, wpatrzonych jak w bóstwo w partię rządzącą, gdzie też szukają natchnienia do swych wypadów na miasto. Koryfeuszem ich jest osobnik, który w cywilu był pono synem Negusa. Zausznik jego, to pewien entuzjasta gęsi (z tej racji nie lubi zaglądać do gąsiora). Resztki ducha żołnierskiego stara się tu utrzymać pewien emerytowany kadet żołnierskim fokstrotem „Barbaro!". W tym to właśnie towarzystwie posiwiał do cna Marcepan. W wirze starć i konszachtów partyjnych lawiruje centrum katolickie: to Ojciec Cięty (najlepszy artylerzysta wśród filozofów i najlepszy filozof wśród artylerzystów) oraz jego nuncjusz do spraw nieszczególnej wagi: kardynał Jarin (czyt. Żarę), zajmujący się polichromią pieców i ornamentacją wszelakich ubikacyj.

bomb. Komorowski



DRUGI ZASTĘP

Drugi zastęp zamieszkują ludzi cisi i spokojni, złośliwi mówią, że ofermy. Są to jednak tylko pozory, bo po obiedzie przy paczkach skupiają się tu co lepsze lementy oddziału i prowadzi się wzniosłe dyskusje na wszelkie tematy. Dlatego słusznie go zastępem intelektualistów nazywają. Punktem centralnym zainteresowań zastępu jest duum virat. Dzielny Zdziś, wojak znakomity i jeździec wyborowy. Typ tak zwanego człowieka-gumy. Wszyscy go naciągają, nawet Moskwa z kancelarii formacji, udziela mu za papierosy fałszywych informacyj, które Zdziś z przejęciem rozsiewa po oddziale. Posiada system gimnastyki podłóżkowej i godziny W. F. pod łóżkiem spędza. Drugi duumvir, urzędnik poznańskiej Opery, to pieszczoszek oddziału. Stale robi co innego

niż wszyscy, dyryguje chórem i na wszystkich akademiach karmi nas pieśnią „Na bój, na bój". Skutkiem ścisłej a tajemniczej współpracy z por. Gilem zawsze znika w chwilach, gdy dobrze jest to zrobić. Drugą parę nierozłączną tworzą Janusz i „Szlachta Mazowiecka na Zagonach". Antek wraz ze swoim nosem, nie zapominajmy o nim, to specjalista od urlopów. Na koniu wygląda jak Ramzes Wielki, a posługuje się mazowiecką szkołą jazdy. Janusz wszystkim sporom i kłótniom przygląda się z uśmieszkiem i dopiero na boku robi złośliwe uwagi. — „Z czcią należy mi pisać o byłym „p. o." — o szlachcicu. Ten lew salonowy z Białegostoku posiada szczególną słabość do razowca. Za dwa bochenki czarnego chleba gotów jest zdradzić tajemnicę oporopowrotnika. Jego komneda: „Baczność" — nawet Mariana podrywała. Nic też dziwnego, że w dowód



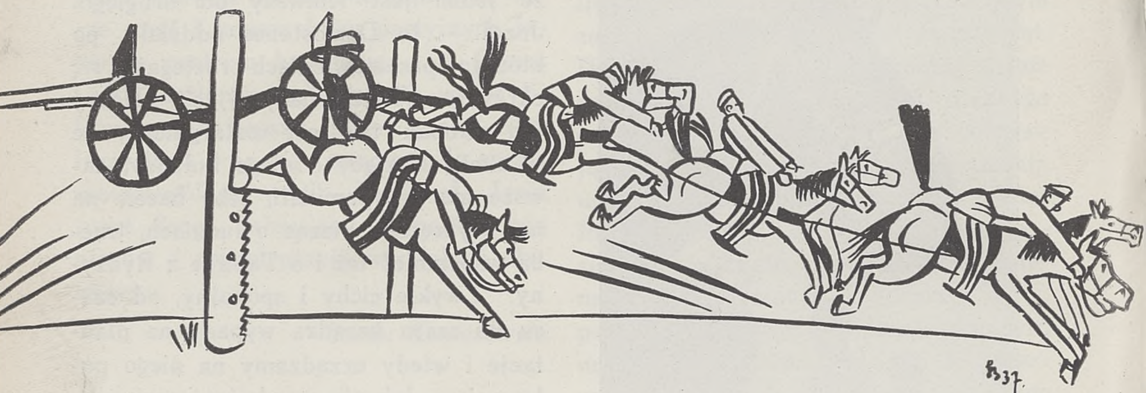


uznania koledzy zastępowi ofiarowali mu listownik miłosny z wspaniałą dedykacją. Raz go tylko koledzy brzydko skrzywdzili, jak mu proszku szatańskiego do łóżka nasypali i biedak musiał za szafkami noc przespać. Też z kresów jest Maria Joco de Moczuła, cabalero de Kowle. Sam głosi, że jak się ożeni, będzie brał sobie dzieci z „Domu Dziecka", bo mu się nie będzie chciało samemu na nie zdobyć. Dwaj bracia śpiący wzoru „D", mieszkają pod oknem i liczą tygodnie od czwartku do czwartku, od paczki do paczki. Wraz z nimi oczekuje ich jednak cały trzeci stół. Różnią się kolorem wąsów i tym, że jeden jest leniwszy od drugiego. Józef — to Demostenes oddziału, po którego przemówieniach rozlegają się okrzyki: „Józek, narysuj to". Dobry ten chłopak tak jest roztargniony, że w zimie, dbający o niego koledzy, zawsze mu przypominali, żeby hacele na noc wykręcił. Pisząc o ludziach, trzeba wspomnieć też i o Tapirze z Rydzyny. Zwykle cichy i spokojny, od czasu do czasu urządza wypady na plantacje i wtedy urządzamy na niego polowania. Jak się uspakaja, znowu na-



staje dla niego czas ochrony. Najwięcej z Tapirem wojuje Zenek. Tworzy on ścisłą trójcę z Mietkiem i jego albumem fotograficznym. Stale w ukryciu, od czasu do czasu wysuwający złośliwe żądło, jak kadet Staszek. Na wyszkoleniu cichym szeptem podpowiada kolegom, jak wygląda przepisowo „padnij", a jak się komenderuje „Dwójki w przód". Bronka od czasu do czasu roznosi tryb życia koszarowego i wtedy szaleje. W takiej chwili szaleństwa (było to wtedy, gdy Zdziś zgubił dziewiątą kłódkę i czwartą furażerkę, a Roman znalazł w swej szafce piąty nóż SPRA) zaaranżerował zdjęcie spodni królowej matce drugiego oddziału, co spowodowało homeryckie boje międzyoddziałowe. Potem się uspakaja i znowu spokojnie na instrukcji angielskie książki czyta. Bekir — wielki mufti oddziału — ma tak dużą dozę powagi, że mógłby nią wszystkich obdzielić. Sztygar, pospolicie majorem zwany, to jeden z nielicznych pistoletów zastępu. Ostatnim nabytkiem zastępu jest Mańka, cudowne dziecię Lwowa, wynalazca znakomitej metody „Pu-pu".

S. J.







KALEKI, ŻEBRAKI PALĄ REKRUTA

Gdzieś za Zawadą, za Kowlem, za Oswojskiem, był kraj płodny w mężczyzn płodnych, wyrosłych i niecnotliwych. Takich właśnie od dawna chciała mieć akademia artyleryjska we Włodzimierzu. Uroda i barczystość i rozwiązłe życie mieszkańców tego kraju miały tu w ciągu roku nabrać dopiero swego rozmachu i piękna. Jak wyglądało rozstanie się ich z życiem tamtego kraju i powitanie we Włodzimierzu, reinkarnacja z cywila na żołnierza, za akademika-brtaniaka, na akademika Funduszu Koleżeńskiego, kronikarz nie jest w stanie opisać. To było koszmarne. Dopiero po kilku dniach kronikarz zdołał „Złapać powietrze" i wtedy dopiero popłynęły mu dnie za dniem w kronice aż do tego dnia, w którym...

Wśród zapadające nocy kroczy smutny orszak. Nad nim kołyszą się lampiony — świecące kule łez i bólów, a pod nim leży biały śnieg. Idą posępni, w czerni, a gra im tata Kowarzyk na organie ręcznym. Idą posępni i niosą wieńce słomiane ze wstęgami. Wiatr północny trzepie żałobnymi chorągwiami, odsłaniając ideały żałobników.

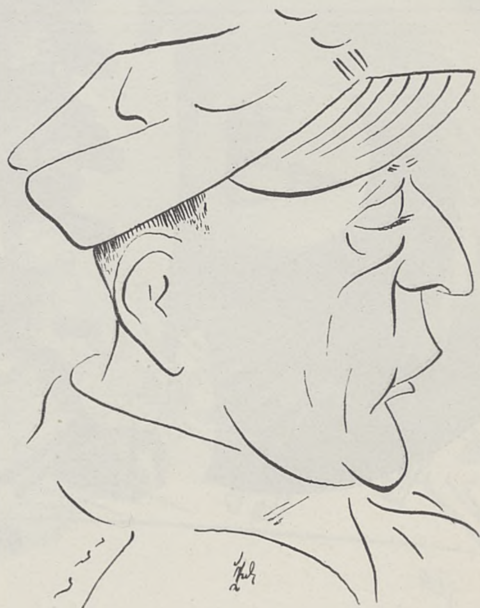
„Chcemy koedukacyjnych podchorążówek".

„Sodą gaszą miłość naszą".

„Nie mundur zdobi człowieka, ale kaliber".

„Słychać u sąsiada, jak pierwsza siada".

Po bokach orszaku trzyma straż honorową szwadron konny kaleki Koprowskiego. Wreszcie idą strojni w żałobne peleryny karawaniarze, niosąc na ramionach mary. Za nimi najbliższa rodzina. Krzyk żalu wzbija się rozpacznie pod listopadowe niemiłosierne niebo. Jeszcze niedawno widywaliśmy





naszego rekruta wz. 36/37, jak ochoczo poprzez najgłębsze błoto dalekiego wschodu Polski, twardo stąpając, maszerował nawskroś ujeżdżalni, jak znaczył na śnieżnym szlaku ścieżki od kuchni do kuchni, od trybuny do wartowni i z powrotem. Zawsze z głową dumnie wzniesioną, z oczyma utkwionymi w zbawczy zegar i tulejami nosowymi zwróconymi w stronę kuchni. Nie przerażały go najszczegółowsze apele, czyszczenia koni, dział, broni. Wiedział on dobrze, że jego pewność czystości jest wszelką możliwością brudu dla np. p. plutonowego Kuźby, magistra wszech broni. Prześcigał wszystkich w nastawianiu tacy po repetę normalną (nawet Szypułkę - Szypulińskiego). W odtykaniu swej ścieżki prochowej w działonie uderzeniowo - rozpryskowym. W wielkim zapale służby potrafiłby zreorganizować szkołę, gdyby nie gasząca te zapały nieszczęsna woda przeciwpożarowa. Strasznie, choć późno (i znów to samo) został w dowód należytego sprzątania mianowany „grubszym klasy"). Niestety, los chciał, aby odszedł. Odszedł za wcześnie, w chwili, w trakcie opisu uprzęży, którą znał doskonale, jako że po mieczu wywodził się z pradziada dorożkarza. Skąd wzięło się nieszczęście? Nie wiadomo. Wiedziano zaledwie tyle, że do pewnego czasu rekrut wz. 36/37 zrywał się do pięciu razy nocą i pędził do drzwi, że pluł co rano coraz gęściej na swoje łóżko, że coraz częściej brał za punkt ustalenia wieżyczkę zegarową z nieziemską nazwą „44", że na instrukcji przy kątomierzu kręcił tem, czem zdrowy czło-

wiek w pełnej świadomości nie kręci. Dość, że w ostatniej chwili odniesiono



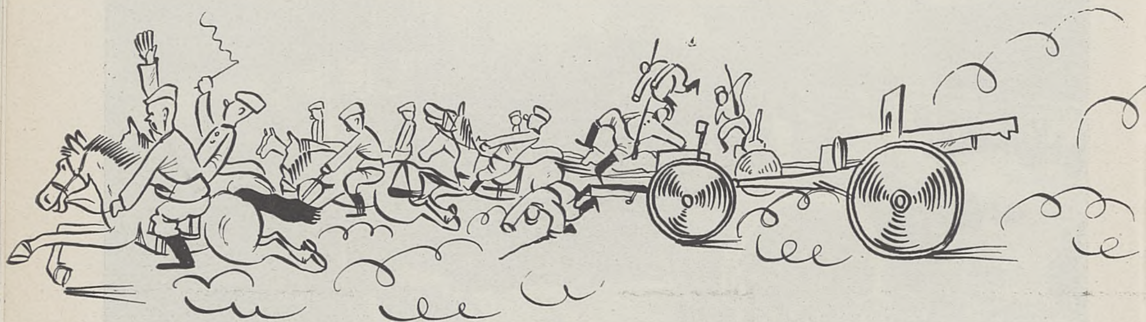
go na izbę chorych z objawami kolki wiatrowej, której nabawił się z pewnością na „wesołym miasteczku". Długo trwało opukiwanie schorzałego sprzętu, aczkolwiek napróżno. Z izby chorych odesłano go zatem do ambulansu wet., gdzie wreszcie konsylium wet., wraz z podkuwaczami i podoficerem zaprzęgowym orzekło tragiczną prawdę: nosacizna. Skąd ona się wzięła? — nikt nie wiedział. Ogniomistrz Wszołek twierdził, że z okularów. Okulary zawsze komuś podpadają, inni mówili, że duszenie pięt w dół, z wykręcania stóp, z nękania się z przystułami uprzęży, i oto masz — rekrut wz 36/37 cichutko, jakby na wykładzie W.B. — zasnął. Skończył się jego żebraezy żywot. Już



go nikt nie zastrzeli, ani nie zamknie. Wicek Wszołek (nie ogniomistrz), alias Wszołek, który nad płonącym stosem pogrzebowym wygłaszał wtedy pożegnalną, do łez wzruszającą mowę, zakończył ją takimi słowy:

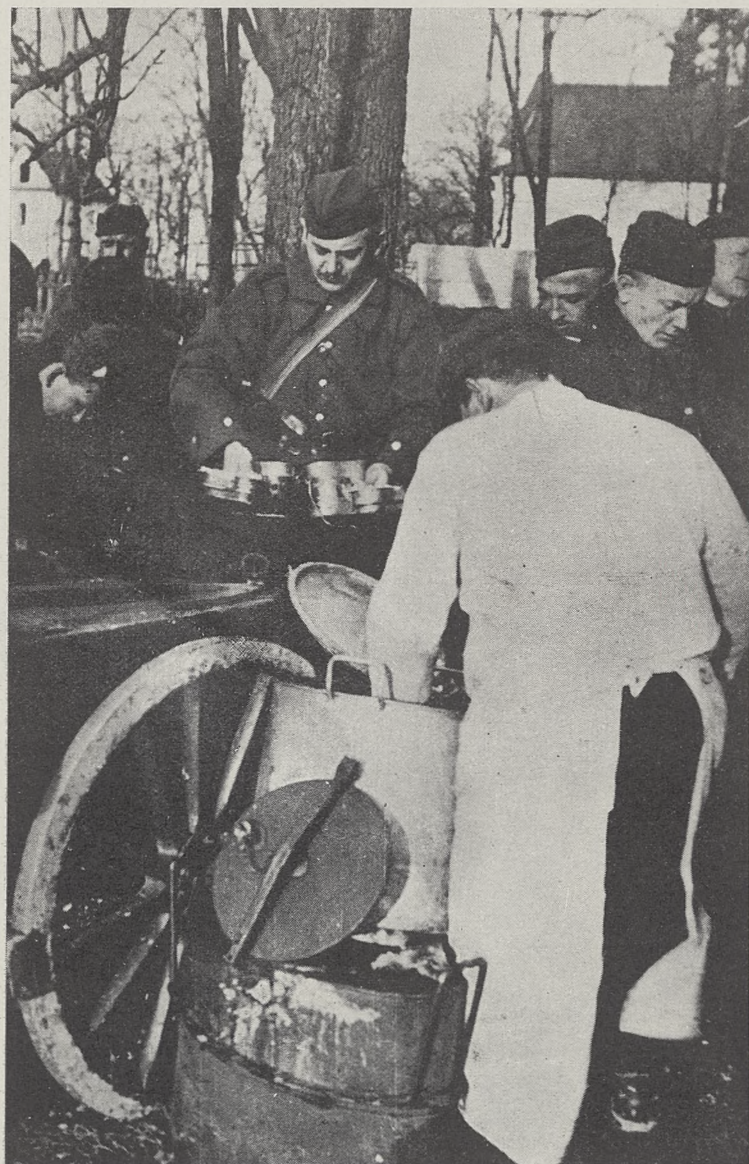
„Otrzyjcie łzy żałobnicy, zostawcie swą rozpacz na poniedziałkową pobudkę i sursum corda. Bo oto z prochów rekruta wz. 36/37, wyrośnie stwór nowy, silniejszy w hart, bogaty w cnoty, pełniejszy i piękniejszy. Widzę go już jak żarem krwi i siłą żelaza zapala nowy i piękny poranek, w pył rozbija wrogie fortece, zdobywa szańce i szczyty aż do najwyższego, na którym miejsce już prawdziwego i wiernego żołnierza Rzeczypospolitej. Wiedzcie zjadacze kaszy, że to będzie jutro".

Skończył i rozpłakał się (nad własnymi słowy). Przy dźwiękach organu taty Kowarzyka i jedynego muzykalnego Kosa złożono na stos mary, u stóp ich wieńcem. Stos wieńców cały spłonął szybko (niczem słoma). Potem uczestnicy żałobnego obrządku poszli na stypę do kantyny, na kawę i piwo. Zazdrościły im tego konie ze szwadronu Kaleki Maksa Koprowskiego. Musiały wrócić, oddać swe łby znów na dawne usługi... na zbiórkę śmieci. Wiadomo — kosze. Nazajutrz do komitetu pogrzebowego wpłynęła jeszcze jedna pretensja organisty Adamczewskiego o niedopuszczenie do stosu jego chóru,



który miał przygotowany utwór. Ale podobno to była — herezja. Herezja solo, z akompaniamentem z Vade Mecum nauczyciela śpiewu w rezerwie. I to zostało w rezerwacie Kroniki.

bomb. z c. Wieszök





Lubomi
Ruda
Zamosty
Emilin

PONO BZDURY...

Jeszcze raz widzę was tu wszystkich tych, z którymi prawie rok żyło się tu. Tacy wszyscy jesteście obcy, a czasem dziwnie bliscy. Najlepiej patrzeć na was tu, w tej małej, zadymionej palarni. Tutaj jesteście więcej cywilami, mniej tem, czem chce was widzieć wódz — wojskiem.

— A jednak ten rok!...

Kiedy tu szliście, byliście ludźmi dorosłymi, z tytułami inżynierów, doktorów, magistrów, albo byliście podlotami, życiowymi „greenhornami" — mieliście jednak także miłe i wytęsknione tytuły— absolwentów gimnazjalnych, które was upoważniały do wejścia w świat ludzi „dorosłych". Tutaj papiery wasze złożono do jednakowych, szarych zeszytów ewidencyjnych. Ubrano was w jednakowe, szaro-zielonawe ubrania i powiedziano: ‚Jesteście żołnierzami". Dziwnie ten tytuł do was nie przystawał tak, jak i szaro-zielonawy mundur i grube, twarde buciska.

— A miesiąc szedł za miesiącem.

— I teraz jest już inaczej. Nauczyliście się nosić mundury i ciężkie buty, tak samo jak i tytuł żołnierza i — mimo to — nie przestaliście być sobą. Widzicie!

— Bądźmy szczerzy. Szliście tu, bo zawołał was obowiązek społeczny, bo musieliście. Niejednych uchronił ten obowiązek od trudnego pytania — „co dalej?" inni stracili może przez to jakąś okazję życiową. Byliście zadowoleni i niezadowoleni, a nawet źli. Wszystko to zostało tu zniwelowane; weszliście w inny świat — twardy, nieraz brutalny, żołnierski. — Ten świat wciągnął was w swoją orbitę i teraz jest wszystko inne— jaśniejsze.

Konie są znajome, mają ciekawe zwyczaje i wiele mówiące „twarze". — Przejeżdżanie ciężką haubicą przez wąski skręt drogi, kiedy to trzeba tak bardzo panować nad czterema parami koni i dobrze je prowadzić, staje się sportem pasjonującym. — Potraficie godzinę nieraz dyskutować, kiedy chodzi o jakieś trudne strzelanie. A to wszystko dużo mówi.

— I chociaż tu, w palarni inaczej wyglądacie, to jednak...

— A teraz:

Flegmatyczny Longin w niedbałej pozie z gazetą w ręce, bardzo mi przypomina któregoś z tych poobiednich gości „Szkockiej" czy „Ziemiańskiej", zajmujących zawsze któryś róg lokalu z mnóstwem gazet; Jerzy — powolny człowiek z litewskich borów, marzący o swojej strzelbie i dzikich kaczkach; Tadeusz — ze zmarszczonym czołem, studiujący prawicowe pismo, dostarczone przez małego, niepozornego Witolda; Janusz, który woli uczyć się hiszpańskiego z samouczka, zamiast instrukcji strzelania i ma z tego powodu przykrości; Romuald i Piotr — poczciwe chłopaki wyrwane z rodzinnego Zamarstynowa; Marian — w cichości ducha rozmyślający nad tajemnicami matematyki; Wiktor — podobny do Janusza, bo też nie lubi nauki, a pisuje artykuły i „essay'e"; Bolek, który wszystko umie i czyta sobie Dekobrę; Długi Gwido, który lubi rozmawiać o modzie męskiej i magister Zdzisław — niewątpliwie elegancki w cywilu, dla którego problemem jest — Chypro czy Mitsouko; wyszcze-



kany magister Henryk, który siedzi teraz z oczami wlepionymi w przyszłość; wiecznie gadający i wesoły Staszek; literat i aktor Andrzej, siedzący nad grubym brulionem, w który rodzą się problemy młodej literatury polskiej; polonista Bronek drzemiący teraz nad Pamiętnikiem Literackim, zwykle zaaferowany grubą, niesytą opowiadań księgi kroniki bateryjnej; esteta i architekt Tadeusz, rozprawiający o malarstwie ze swoim Satelitą Staszkiem, który miłuje sztukę i jeszcze jej nie rozumie; Tadek-Uptuś rysujący ilustracje do opowiadań Andrzeja lub piszący makabryczne historie, albo chrzęszczący ochrypłym głosem przedziwne kawały; i Julian inżynier; i Janek — nie wiadomo co więcej — poeta czy socjolog; i Włodek, spragniony władzy i tylu, tylu innych.

— Tak was widzę teraz, w małej, zadymionej palarni. Trzeba przyznać, że tu jesteście najmniej żołnierzami. I w dodatku już wkrótce odchodzicie ze szkoły. — A kiedy włożycie barwne krawaty i kapelusze, pomyślicie — tak poprostu, że „wojsko już minęło".

— Nie wiecie o tym, nie uwierzycie mi, jeśli wam powiem, że jest inaczej. A jednak jest inaczej!

I jeśli okaże się potrzeba, szybko nałożycie szaro zielonawe mundury, złożycie do walizek swoje przyzwyczajenia i przyjemności, ustawicie te walizki na dnie waszych szaf, a sami pójdziecie.

— Gdyby was wódz mógł wtedy zobaczyć — jakimi żołnierzami będziecie, jakimi Żołnierzami!...

A. S.

W PAŃSTWIE «RAMKOWCÓW»

(Impresja reportera w mundurze, cudem ocalonego z nagonki na podglądaczy).



Minęły dni zdzierania skóry cywilnej po wszystkich kątach koszar. Zostawiliśmy szary okres „zabaw" na placu sportowym za sobą. Zapomnieliśmy o smutku śpiewanej piosenki „Wesoła marynarska wiara". Pozostały w pamięci komendy, chwile wesołe, tryskające humorem — one też będą stanowiły zapas wspomnień z „wojenki". My „Dekownicy" dajemy wam, towarzysze nieprawdopodobnych kawałów, kilka wycinanek z naszego wspólnego życia — tradycyjne „kupa mięci".

— „Tak, podobacie mi się".

Dwa szeregi stoją nieruchomo.

— Tylko — hm, hm — tylko te — ramki, pamiętajcie, pamiętajcie. — Słychać tam na końcu?

— Słychać — drze się na całe gardło Marchołt gruby, ale za mało sprośny. Szeregi się łamią, nierówny brzęk ostróg.

O, znowu mi robicie bałagan — holender — hm, hm — szefie — jutro musztra. Tak, salutowanie i postawa. — Czołem.

Czołem.

— — — — — — — — — —

Godzina instrukcji. Nastrój senny. „Koko" tradycyjnie śpi snem sprawiedliwego. W innych ławkach chwieją się głowy Staszka. „Uptusia de Sedes". „Lata" i innych. Symonelli czyta perfumowany liścik i wzdycha. „Talarek" śmieje się jak zwykle do swoich myśli. „Generał" wgryza się w najnowszy dodatek do instrukcji. Ktoś odpowiada przy tablicy.

— Człowieku, to wy, psiakrew, tego jeszcze nie umiecie? A wy, nie, wy, no, wy — ręka z wyciągniętym palcem błądzi po głowach, aż wreszcie ustala się na „Baronie" — głuche milczenie.

— Wy nic, wy zostaniecie oficerem, w wojsku abisyńskim. — Wy!

Czyraczek zrywa się, ale za wolno. Siadać! Czyraczek!

Gwałtowny stuk ostróg.

— No?

Zaspane oczy patrzą beznadziejnie.

Wy, zdaje się, chcecie należeć do towarzystwa głupców.

......????????.......

Winszuję. — — — —

— — — — — — — — — —

Pamiętacie wyczyny naszych olimpijczyków? Jak to Szwejk sposobem tatar-

skim krył się pod brzuchem końskim nie tylko sam, ale wraz z siodłem — jedyną ostoją dzielnego rycerza. Wiecie również, kto tu był winien. — Oczywiście konie.

A „działokpiny?" Nazwa pochodzenia nieznanego, byli jednak tacy, którzy wywodzili ją jednak od autentycznych kpin, jakimi obdarzał nas i ciebie, wytrwały Alchimiku, dzielny bojownik z pod znaku św. Floriana, czerpiący wiadomości tylko z grubszych ksiąg. A może nazwę wymyślili wdzięczni, lecz nigdy i w nic nie wnikający uczniowie, dla których ważniejsze było słońce, przezierające z poza chmur, lub pogawędka o... Maryny, jak obrazowo wyrażał się jeden ze starszych — prawda, konusy?

— — — — — — — — — —

Dzień pracy. Rano. Zaglądam do kancelarii — przy stole siedzi jeden z największych domowników, ale i najprzystojniejszy z plutonowych, znany kierownik rekordowych obsług. Pisze coś? Ale gdzież tam, wkleja do albumu znaczki. W prawym magazynie króluje „Bulbul" i zestawia potrzebną ilość chustek. Sekunduje mu dzielnie „Marchołt". W lewym — rzuca się „Sprężynka", bo zginął azymut 3520 z przenośnika i śrubka z południcy. Gromki jego głos dociera do najdalszego zakamarka sali. A na sali — szef.

— „Prasować łóżka!... Wyrównać taborety! Psiakrew, rozrzucę to wszystko! Działonowi do mnie! Jeżeli tak dalej pójdzie, zamknę was. Wróbel, was tak samo. Na przepustkę chodzicie codziennie, a buty brudne!

I porządek jest...

— — — — — — — — — —

Drugie śniadanie. Zbiórka. — Pojedyńczo złażą się typy z pełnymi gębami.

Rozejść się! — słychać głos Damazego — filozofa.

W dwuszeregu zbiórka! — stają.



Żeby chociaż raz — a to nie — tylko jak się robi zbiórkę, to się każdemu na miłość zbiera i zaraz idzie..., a szafka otwarta i bałagan jest...

Rozejść się...

Po obiedzie czas wolny. Pięć zbiórek i dwa przeglądy. Wolni ludzie zbierają się na jednym z łóżek „Koła Cynicznych Zmurchszarów". „Uptuś". Dyzio, „Lato", „Sportsmen", „Nosal" i jeszcze kilku. Namyślają się jakby się zadekować od najbliższego czyszczenia sprzętu. I nagle Uptuś robi album, Nosal siedzi w kronice, a Dyzio i Lato piszą rewię na najbliższe święto.

— — — — — — — — — —

Wieczorem odbywa się przedstawienie. Cztery gitary wyczyniają taniec klasyczny (Gad, Staszek, Wi-Jan, osal), nad głowami unosi się smętna melodia z radio. Capstrzyk. Najodpowiedniejsza pora do dyskusji. Tomcio robi wykład o Hanibalu, królu węgierskim, i dachach spalinowych. Okularnik zachwyca się wojskiem. „Jergis" stęka, bo pokarm spożyty nie zawsze mieści się w jego skromnym żołądeczku. Pariasi rzucają w siebie piłką. Tam Simonelli, znawca spraw miłosnych, „Zięba" — profesor' Tońko-Czochral, Szósta Lokata i dowódca słynnego patrolu Alchimek kombinują, czy „Kaju", prezes ustępowców (nie mieszać z postępowcami) długo jeszcze utrzyma się na stanowisku, bo na scenę wchodzi nowa gwiazda — Michaelo. Skaczą sobie na głowę i zaczynają bitwę. A właściwie ze Staszkiem, który klnie jak stu żołnierzy z Legii cudzoziemskiej, 50 marynarzy i 8 synów rogatek lwowskich. Oczywiście wychodzi zwycięsko. Choć nie zawsze, a o tym mówi tak Farynka:



„W niedzielę Staszek cholernie
pyskował,
Że instrukcja dla niego — to zero,
to pic,
W poniedziałek już tego okropnie
żałował,
Że w niedzielę instrukcji nie uczył
się nic,
A we wtorek ,gdy zdawał, smutnie
zwiesił głowę,
Bo nie dostał ósemki, lecz mniej niż
połowę".

— — — — — — — — — —

Wczorajszej nocy, chcąc usłyszeć co wykwintniejszych lunatyków — podobno opowiadają przez sen nie stworzone baje — usiadłem na ławce i zdrzem-

nąłem się. — Nagle wyrwał mnie z odrętwienia niesamowity krzyk, jęk i skomlenie. O, haaa, oooo, hoooo — zawodził „Osa". Powiesił się... Skoczyłem za nimi. Obudzili się inni. Podniósł się ogólny wrzask. Patrzę — straszne — na belce, nad łóżkiem urlopowanego architekta wisi długa postać. Miuk się powiesił — krzyczą liczne głosy. Przypominam sobie nagle, że przecież jest światło. Podbiegłem do kontaktu, w blasku lamp ujrzałem w korytarzu biegnącego w krótkiej koszulinie Mecenasa z przerażonymi oczyma i nożem w ręce. A na belce kukłę z munduru Miuka. Mecenas wrócił do łóżka rozczarowany, bo od tak dawna poluje na sznur po wisielcu, a tu znów klapa.

Potem Szlachetka dostał spazmów i darł się desperacko: ra-diooo. Krzywaki pod kocami grzały. Jedynie Miczel wyszedł na momencik na papierosa, zagaić posiedzenie klubu sympatyków nowych sedesów.

O świcie wyjechały zbrojne zastępy do boju spotkaniowego marszem ubezpieczonym. Telefonista telefonował bez rękawiczek, bo wojna była krwawa i bój spotkaniowy. I choć wódz był trochę zmęczony, bo wiódł wielu jeńców npla— karabiny maszynowe — bogate łupy — branki w jasyr wzięte, orzekł, że mu się nic nie podoba. Zmienił w galopie koła u armaty i dyszel wraz z parą koni, po czym rozdał hojnie Peterkom po 20 wiader wody.





WSPOMNIENIA ŚWIĄTECZNE

Historia wygląda zgoła nieprawdopodobnie. A działa się już dość dawno, bo w Sylwestra. Ranek się właśnie robił na dworze blady, zimowy, gdy wróciłem do domu. W pokoju panował przyjemny półmrok. Wcześnie było jeszcze. Począłem ściągać buty. Z braku pieska wybierałem co cięższe meble, rozrzuciłem książki na etażerce i wreszcie po półgodzinnej, ciężkiej pracy padłem zmęczony na fotel pod choinką. Cicho było... W jakiejś chwili, gdy oczy same przymknęło zmęczenie, gdzieś od szczytu choinki oderwał się białoskrzydlaty anioł o twarzy suchej, poważnej i wygolonej, spłynął z góry i przysiadł na poręczy fotelu.

— A kolega szkolny co? — zaskoczyło mnie pytanie — postój ubezpieczony urządza? Tu Grajdołek, tam szosa do Pępkowa, a czaty gdzie?

Zatrwożyłem się w sercu. No, bo jakże postój, rzeczywiście, a czat nie ma.

— A na czym polega O. P. L. i O. P. Gaz?

Spotniałem. — ...O. P. Gaz.... no tak, dzisiaj Sylwestra — dwa koniaki głęb-



sze pod cytrynkę z tym filistrem, dwa z wermutem, później trzy czyste pod czystą poezją z tym poetą, dwa służbowe, przyjaciel wojskowy szedł na służbę, ale O. P. L....

— A gdzie tu szkolny kolega ustawi baterię. Pomyślałem, że najlepiej w kredensie, można ostatecznie pod choinką... Zielona, zasłona, zakrycie, na skraju lasu, cień...

— Na baterię szarżuje kawaleria o 50 metrów przed nami, jaką to komendę poda szkolny kolega?

Mój Boże!... Spojrzałem ku górze. Ważył się właśnie na skrzydle z prawej strony aniołek z czarnym wąsem, z nieco przerzedzonym włosem, z dwoma gwiazdkami na białych skrzydłach i jakby szeptem podpowiadał...



„Rybką z konia!" czyli
„O, widzisz!-ten koń skacze!"

— Do modlitwy, prawda, panie. Hm, chyba naprawdę do modlitwy, albo przodki do działowni... dodałem z własnej inicjatywy, aniele kapitanie...

Uśmiechnął się anioł...

— Kolega szkolny humorysta jest — powiedział — powinien się do zespołu Krupskiego zgłosić... A czym się szkolny kolega w młodości zajmował?...

Pobiegłem pamięcią w przeszłość. — Piłkę się kopało, w guziki grało, za szkołę się chodziło... zarumieniłem się lekko, ale nic więcej panie kapitanie...

— Dozór mała wskazówka zegara, cel przecięcie się szklanej zabawki z prawym skrajem chinki. Obliczyć stosunek zamiany, wstrzeliwanie obramowujące jednym działem, panie.

Jęknąłem — całe repetycje. Pomieszały mi się w głowie bomby szklane, dozory, wermut i koniak, westchnąłem cicho ku górze i zamilkłem.

— Na diabła takie — odezwał się anioł, starszy ogniomistrz, takie strzelanie. Ja wiele nie powiem, dwa słowa. Siedzą tu gadają, o ideologii się mądrzą. Jeść co mają uważam, ubranie także samo... wiele nie powiem, dwa słowa... Jabym przegonił raz, drugi na działony, biegiem... Wsiąkłem jeszcze bardziej w głąb fotela.

— Tu centrala Kraków — Wołam Halina — proszę mówić. Hallo, hallo, jak się masz Halu, rzekłem uszczęśliwiony, że mogę wreszcie porozmawiać świątecznie, nie wojskowo. Jak wrażenia z balu? Trzask się jakiś nagle rozległ w przestworzach. Anioł jakowyś zakołysał się na choince. Centrala zamigotała w powietrzu różnokolorowymi wtyczkami...





— Rozmowy tu będzie prowadził. Ja wam radzę uczcie się, bo będzie źle. Dusza moja zawyła rozpacznie.

— Wrócił łajza, kostki nie ułożył, a jutro pan generał przyjeżdża. Ja go znam, to nie taki od kurzu generał, ale regulamin zna i woltyżer tyż jest. Jak będzie, niech żaden łajza nie czeka, włazi na chabetę, długo się nie wiezie i już złazi...

Mój Boże, pomyślałem, zdawało mi się, że to święta, Sylwester... tak dobrze było, a tu masz czaty, działoczyny, instrukcja, łączność, repetycje, pan generał woltyżer... Skuliłem się w fotelu jeszcze bardziej. Anioły tymczasem fruwały pod choinką, pod sufitem, po pokoju, radziły, mówiły...

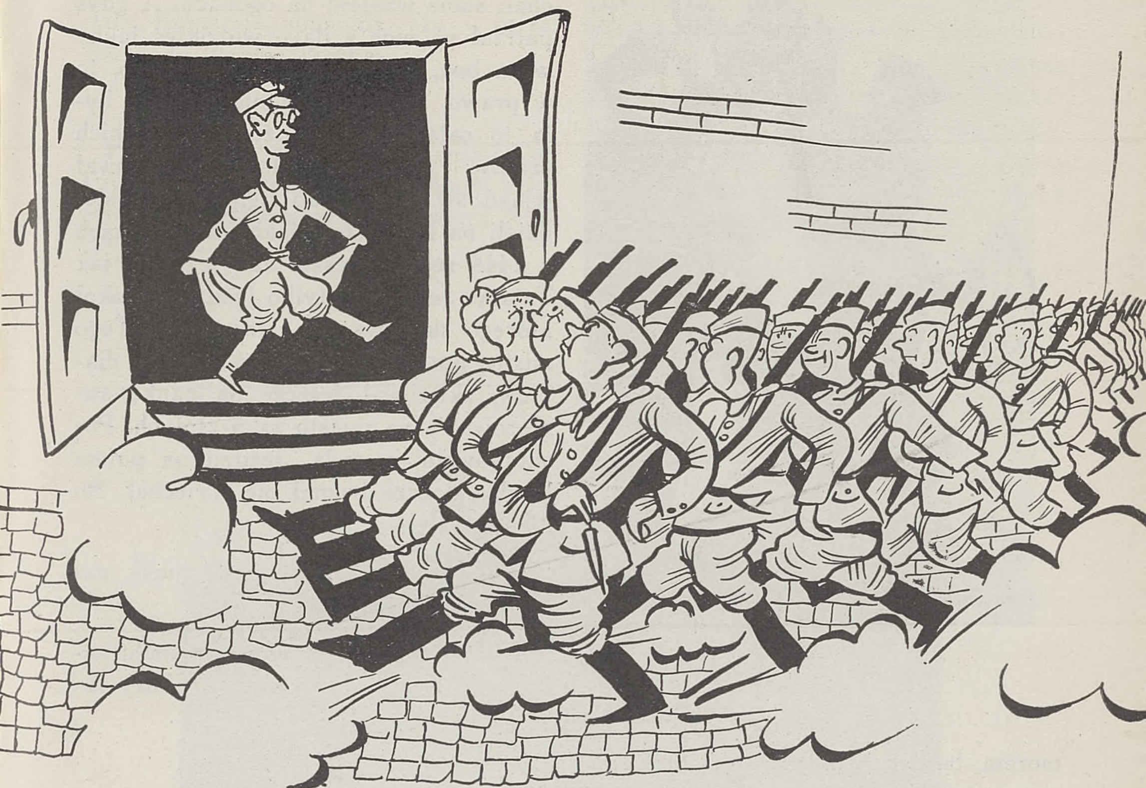
— Do pułku trzeba, trudno panie, usłyszałem strzępy rozmowy... Długo trwała narada i noc. Lecz gdy wreszcie otwarłem oczy, ujrzałem całą rodzinę nad sobą. Choinka leżała u mych stóp. Z prawej strony leżał kawałek nieszczęsnej centrali Kraków. Krzyczałem pono na cały głos... Dozór nr 1 zmniejszyć o 60, powiększyć rozwinięcie o 5, tu Zbigniew, wołam Halina... Front lewo, biegiem marsz, w tyralierę. Zbiłem poza tym dwie szklanki z pobliskiego stolika, dając znak zaprzodkowania w lewo. Choinka leżała w pyle u mych stóp, lecz





gdy spojrzałem, cały zastrząsłem się ze zgrozy... Różowe, o białych skrzydłach aniołki wyraźnie się śmiały...





PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Ogromną sensację wśród historyków wzbudziła oryginalna praca profesora M. Brówczyńskiego p. t. „Równy krok a wynik wojny światowej na tle traktatu wersalskiego". Praca ta została nagrodzona pierwszą nagrodą na zjeździe „Pań Domu", w uznaniu zasług dla podtrzymania męskości. W pracy tej autor zwraca szczególną uwagę na pedantyczne ćwiczenie równego kroku w armii niemieckiej i ubolewa nad tym, że przy tak wyćwiczonym kroku Niemcy przegrały wojnę.

— Tak, otóż to właśnie, sam miałem taki wypadek. Nie wiem, czy wam to mówiłem, więc posłuchajcie. Musiałem jednego przymknąć zaraz po trzecim kroku, bo cholerrra chodzić nie umiał.

— — — — — — — —

Obecnie omówię kilka prac znanego i poczytnego już ogólnie poety Lechonia. Talent poety uwidocznił się już w pierwszym jego dziele p. t. „Łączność". Rzecz napisana ze szczerym hu-



chali sobie wzajem na ogonach. A gdyś patrzał na nich z dala, widziałeś jakby węża boa, który wił się to w lewo, to w prawo, dwoił i troił niekiedy. A była to cała rewia jeźdźców wszystkich czasów. Jeździec czołowy naśladował wjazd św. Józefa do Egiptu. Inni siedzieli na kulbakach, jakby na brankach z 1444 roku. Reszta zaś jeździła jak Tatary. Jeden był tylko jeździec, wokół którego skupiała się cała uwaga. Tego mistrz po odesłaniu do wszystkich diabłów, skierował jeszcze na naukę anglezowania na miasto za 5 złotych. Poskutkowała ta rada. Jeździł on potem bardzo dobrze i omal nie wyjechał. Bo nie wiedział, że

— Grunt — to schimmel, guzik mu się w oku przekręcił.

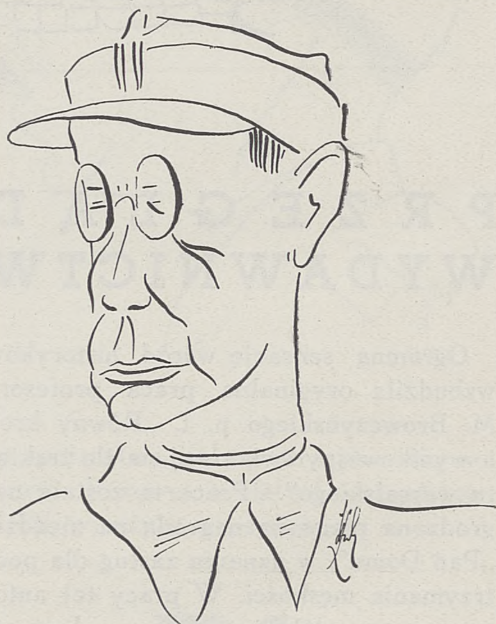
Tfu, świństwo, kaprawym okiem strzelał, jak Kokot dywizjonu, aż buty le-

morem, bardzo lekko. Po zorientowaniu się w terenie, rozpoczął poeta pisać „Instrukcję strzelania oczkiem". Praca bardzo pożyteczna, zwłaszcza dla dorastającej młodzieży. Po próbnym strzelaniu sprawdzonym, radzi poeta przejść do zwarcia, a następnie zastosować już ogień skuteczny, zależnie od głębokości celu. Ostatnio na jego warsztacie podziwialiśmy jazdę rozprzęgami.

— Ojcowie, zrozumieliście mnie? — Co, tak? — Guzik żeście zrozumieli. Czechowicz, a wy się wypiszcie z tej organizacji, bo nic, tylko po tych zbiórkach chodzicie, a wyście są lepszy gość.

Wyjątek z dzieła Lejankowskiego: „Z prawa i z poznania".

Na udeptaną ziemię ujeżdżalni wjechał zastęp doborowych jeźdźców. Je-



ciały. Komenda, komenda. Tfu — łajza, idźcie do diabła. Trójka.

— — — — — — — —

Po ukazaniu się słownika pijackiego Tuwima zauważyliśmy na półkach księgarskich pokrewną pracę magistra Klawiszewskiego p. t. „Słownik dla instruktorów jazdy konnej". Praca powyższa powinna się znaleźć w każdym pojeździe, gdyż w sposób zdecydowany zachęca do jazdy. Książka bardzo gustownie wydana, na okładce widzimy obraz tłoczony raportów karnych.



D Z I E Ń W PENSJONACIE «P R Z Y B I J»

Właśnie służbowy krzyknął: „Pobudka — wstać", kiedy Myśliwiec w głębokim śnie prztulił gorące usta do nagich ramion ukochanej.

— Ach, taka nóżka, jedwabna pończoszka ze strzałką orientacyjną — taki sen...

Teraz pośpiech, wciągać karwasze, skakać w buty, ryć w sienniku zanim krzykną — „Do umywalni biegiem marsz".

Za szafkami ktoś tupie, tańczy na jednej nodze, zapomniał wyjąć szczotki z buta, która stopę uwięziła jak klin.

— To twój kawał, Kokotku, ryczy, tyś na pewno w nocy...

— Daj mu spokój, wiesz, że on ma całą noc bardzo pracowitą...

„Jak ją dostał w swoje łape
Tumba, tumba, w swoje łape,
I położył na kanape,
Tumba, tumba"... ...śpiewa przez nos Olek, a Zygmuś Kalinowski łka sentymentalnie „Bez Ciebie nie potrafię żyć, o ukochana". Zaraz powie: „Niech skonam, nie ma prawdziwej miłości, gdy słyszę ten poranny repertuar — jestem pewny, zaczął się nowy dzień — dzień jak codzień.

„Do umywalni biegiem marsz"...

Część biegnie za szafki, kilku do ustępu lub na sąsiednie, bezpieczne jeszcze zastępy, a Zatorski, umoczywszy róg ręcznika, pociera sobie starannie uszy.

„Glizdo łysa, typie nieczysty, won z mokrymi łapami, idiota, naprawdę myć się przyszedł, warczy na Neumanna.

Starszy klasy, zaprasza kronikarza pod prysznic — „Częste mycie skraca życie" — odpowiada Szyja i ucieka na działon. Tu już soczyście pryskają na





wykrochmalone w nocy prześcieradła i ugniatają sienniki taboretami, żeby „Karpatów nie było".

„Wychodzić na gimnastykę".

Wszyscy teraz gwałtownie odczuwają potrzeby fizjologiczne, a służbowy gorliwie zagania markierantów do lekarza. Już wczoraj przyrzekał im zwolnienia, byleby tylko poszli, przecież to czysty zysk i dla niego i dla nich, lepiej wypić zimną kawę, niż stać w wodzie na działoczynach.

Gimnastyka — to marsz krokiem dowolnym, równym, szybkim, na palcach, na piętach, a potem skręty głowy, skłony głowy i w ogóle — zawracanie głowy. Jeszcze kilka głębokich wdechów wonnego powietrza i stajemy do modlitwy z kubkami i chlebem pod pachą. Te „Wyciory" modlą się tak szybko, że konusy z końca na swoich krótkich nóżkach nie mogą nadążyć, kiedy Tewia-

szew odmawia z patosem: „Zbaw nas ode złego", to „Ksiądz Bytomski" dopiero prosi o więcej „chleba naszego powszedniego" — białego i czarnego.

Po śniadaniu jeszcze 5 minut, więc szef gna nas do łóżek, ledwie przygładziliśmy zagłówki, a już krzyczy: „W dwuszeregu na dole biegiem, ale żebym ja ten bieg widział, zbiórka".

Tłum bykiem do drzwi, aż chrupią gnaty. Ktoś dowcipniejszy krzyczy: „Dzieci i kobiety naprzód", „Bez paniki". Zjeżdżają po poręczy, tupią podkute buty o bruk podjazdu.

Na niedobitkach wyjeżdża triumfalnie nasz groźny szef. A na przeglądzie, to „buty kumpletnie siwe", „płaszcze całkiem w błocie", „ostrogi gniją" — a tu ktoś nagi, „kumpletnie nagi na zbiórkę przyszedł", bo ma guzik odpięty u lewej kieszeni.

Już my, t. j. „dziadki" prowadzeni przez dyżurnego „Sirotę" wędrujemy na działoczyny, śpiewając: „Na parkanie siedzi Jaś", ostatni szlagier baterii. Kałbarczyk, pociotek najlepszego łyżwiarza Polski, wypinając dumnie pierś, obejmuje stałą funkcję przy dyszlu. Punkt celowania — prawy skraj stajni, Celowniczy Flaszyński ma czkawkę i nie może zgrać poziomnicy. Na drzwiach jaszcza złote myśli dawnych wręczyciołków:

„Gdy słonko zaświeci — dekujcie się dzieci", 7/4/32.

„Płynie słomka w wodzie, woda jej nie chwyta, nie ten jest co pisze, tylko ten co czyta", 27/1/34.

„Co wy smoki jedne sobie myślicie? — przerywa nasze medytacje pan por. Kozanaeki. Już Butnerek ćwiczebnym kłusem wytrawnego dekownika obiega zasmarowane w błocie działa. Wyzwala go przerwa. Dymią „Popularne". Katyński uśmiecha się czule, gnie i czołga, prosząc o jedno sztachnięcie. A Kalbar-





czyk opowiada o „łóżku i brzuszku, kochance Hiszpance".

Edzio, panie tego, kończyć palenie. Zbiórka. Tyle ambicyjek, tylu indywidualistów — ile on się napracuje, żeby z tego kolumnę zwartą i karną wystawić.

W stajni Sobótka ugryzła artystę Grudzińskiego w wypięty pośladek, jak zwykle przy dopinaniu popręgów. Niewielka szkoda, bo on i tak ma tam zepsuty celownik.

„Wybrać koniom z pod kopyt" — przypomina plut. Łojek. „Czwarty zastęp wychodzić". Z Arakiem na koniec, Arak — to niezwykle sympatyczne bydlę, doskonała para z długim Klimkiem. Chlupią kopyta, Bytomski cmoka czule na konika, klepie go, szarpie wodzami, bije piętą, a Medalion uparł się i nie chce zakłusować.

„Butner — woła pan Porucznik — Zróbcie mu fotografię, będzie miał co parafiankom z ambony pokazywać".

Wolta w prawo. Co to za wąż boa? Tfu, świństwo. Marcinek groźnie szarżuje na przeszkodę, a w ostatniej chwili





ściąga wodze i ostrożnie zjeżdża w bok. Po co zaraz skakać, powinno wystarczyć, że jadę, mówią jego głęboko zadumane oczy.

— „Tfu, świństwo, jeszcze raz" — woła p. Porucznik i strzela z bata.

Drugie śniadanie: kotlety i groch. Rass Duba Chyliński wyżarł pół stołu, broni talerza łokciami i wyje: „Prędzej, do okienka, dają repetę".

Teraz „W. B.". Jak błogo za plecami pierwszych ławek marzyć o odległym cywilu, drogich ustach i stęsknionych ramionach kochanej dziewczyny. Pan Kapitan, nakrywwszy oczy błyskami okularów, opowiada o strasznych skutkach spania na jaszczu: „Siedzi taki leniwie i śpi, a potem spadnie, sam miałem taki wypadek, koła mu nogi przejechały i musiałem go zamknąć".

Wchodzi służbowy. Pan Kapitan przechyla głowę i zachęcająco: „nooo...?" „Panie Kapitanie, bomb. Karlicki melduje posłusznie swój powrót ze stajni" — recytuje z przejęciem służbowy.





„Tak" — potwierdza z aprobatą pan Kapitan.

Przerwa. Nawet wstać się nie chce. Tak dobrze słuchać i siedzieć i trawić. Jeszcze godzina instrukcji. To godzina udręki. Wytryskujący zdrowiem pomidor, szpitalnik Górski, grabarz Nowicki, który „byczym okiem" patrzy w kątomierz i woła, „dej grabę człowieku". A w pierwszej ławce Wach, przejęty ważnością swego istnienia jak Rapacki wąsami, wdycha emanacje własnego ciała i ducha. Błyskotliwy Wach, który wzbudza entuzjazm całego pensjonatu „Przyby". „Raz, Wach, Raz, Wach..." Odliczono. Niezapomniany Jerzi Wach, człowiek, który musi...

P. Porucznik jest dobrym psychologiem i gardzi literatami, którzy unikają strzelania i śpią po kątach jak gruby May. Grozi, stawia trójki, a w końcu wyciąga z nas wszystko, co się da — i Buttner FOT, oblany tłustym potem, zaklina się, że na grobie wyryje zamiast D. O. M. — T. B. D., którym go przez miesiąc prześladowano.

„Nikt z was tu nie wyłazi, a potem nic nie umiecie, trója, siadaj i koniec, co ja się tu z wami będę dużo bawił" — Uderza przekonująco palcem o otwarty notes.

Komenda, prędzej komenda, albo idziecie sobie do diabła. Wata na rowy, drzewa, zasieki.

— W prawo, w kierunku, na wysokości.

— Co?

— Niezaobserwowany.

— Co wy się tak gapicie na tę lornetkę?

— Bo do czego się właściwie strzela, panie Poruczniku?

— Siadajcie, trója, siadajcie, sroży się Dowódca, a już się uśmiecha na widok przerażonej gęby delikwenta.

Idziemy na górę: p. kpt. Lichoń — „Nic nie rozumiecie Światowski, zrozumieliście mnie? Tak, ojcowie, nie ujedziecie, zrozumieliście mnie" — podkreśla tę bogatą przewagę wymownymi gestami.

Wyczyszczone buty świecą. Obiad i wyścig do miejsca zadumań. A służbowy poluje na „dwu do noszenia worków do pralni".

Nauka własna mija szybko, stukają szachy, dwu matołów leje się po ogolonych łbach, wydając żałosne ryki, tam grają w inteligenta. Biskup używa „kropelek", a Glina, to wódz strażaków, ten z najlepszą sikawką obwiązał nogę „Frankensteina" — Kisiela i usiłuje takową wyrwać z miejsca stałego pobytu. Sokół deklamuje „Redutę Ordona", osiągając coraz to lepszy czas.

Służbowy Paja gwiżdże — „Baczność".

Gędłek twierdzi, że służbowemu dać gwizdek, to będzie gwizdał jak głupi po kościele. Ale Paja jest harcerzem, jak Kiejstut strzelcem. Z takimi ludźmi trzeba ostrożnie. Zresztą Paja jest lepszy od Rzeźniczka. Przygotowanie do rozkazu.

Tak szybko czas leci. Po kolacji myć się nikt nie idzie, bo dziś wtorek, a w sobotę była kąpiel. Modlitwa, idziemy spać.

Już Biskup we fioletowej koszuli wzywa lożę Wielkiego Czasu za szafki i uroczyście skreślamy dzień. Tesslar opowiada skomplikowane przeżycia widza walk cyrkowych. Zawodnik polsko-amerykański Abbe Kapłan, contra brutal Stressnyok. Drewnowski ściąga z siebie szóstą koszulę coraz innych odcieni, a Haneman, handlarz dewocjonaliami z Częstochowy, mistrz fletu, chrapie jak lokomotywa.



— Dobranoc — Zygmuś.

— Gil, panowie, ptaszek, woła ktoś, gnając w kalesonach korytarzem.

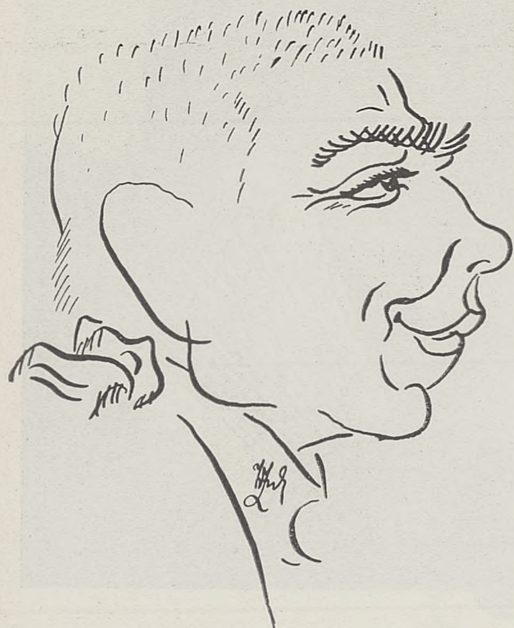
Cały pensjonat ćwierka, gwiżdże, jak klatka kanarków.

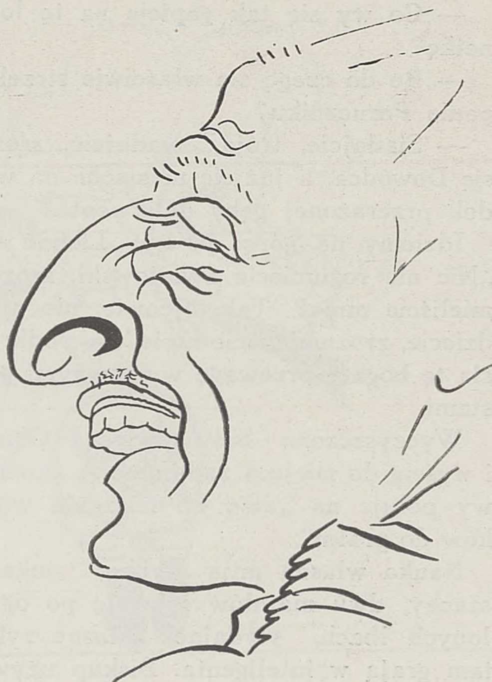
— Capstrzyk — woła egzotycznie służbowy.

Światło gaśnie.

— Trzeba tu niektórych w niedzielę na miasto wyprowadzić, mówi Szkielski, interesujący się problemami moczopłciowymi kuzyna.

— Cicho bądźcie, bo mi brak sprzątających — ostrzega Marian Żelazny.





— Niech skonam, jak ten czas leci.

— Wojsko, wojsko i po wojsku, filozofuje Tadek, który przez kratki patrzył na świat.

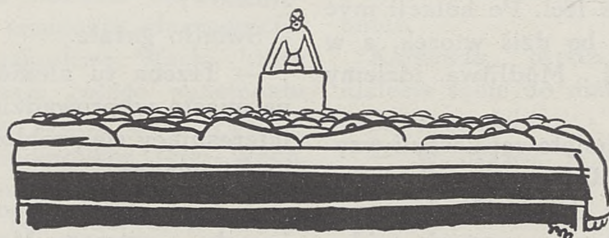
Jeszcze kilku fanatyków zdąża na papierosa, w miejsce „ustępne".

Władzio Kiepurski całuje mnie na dobranoc. Już pensjonat usypia. Kopią, wzdychają, stękają, skwierczą, ciągną coraz gęstsze powietrze przez zakatarzone nosy.

Służbowy pisze list miłosny. Zegar tyka.

Minął dzień.

Bomb. Żukrowski Wojciech





L U D Z I E



Przeciętnych bombardierów u nas nie ma. Oto super asy: Kanonik — obraża się, gdy go nazwać klecha. Poza tym łagodny, umie jeść z ręki. Po capstrzyku jednak go nosi: duka za szafką egzorcyzmy lub nuci po łacinie, iż były jako gołąbki lub jako węże przebiegłe, bardzo sentymentalnie i bardzo bezosobowo. Znać jeszcze się nie ucieleśniły.

Cyklista — nie wiedzie mu się, bo w koszarach za dużo zarazków. Wciąż choruje, ale ma pietra przed doktorem. Leczy się sam. Nie otwiera okna, przy którym sypia, a w zimie kładzie się do łóżka w nausznikach, szalu, furażerce, swetrze, jegerach, onucach i skarpetkach. W ogóle jest pełen zapobiegliwości moralnej niczym purytanin: raz tylko dzięki pomysłowym kruczkom udało mi się pożyczyć od niego 10 groszy na dwie godziny. Warczy gdy ktoś pogłaszcze jego nową czapkę. Demon kuchni — osobistość łykawa, niezwykle ustosunkowana w sferach przykuchennych. Gdyby nie to, że natura wyryła na jego twarzy dwie sarkastyczne bruzdy, cieszyłby się mirem u kolegów i poważaniem u przełożonych, jako żołnierz, który na pewno nigdy nie będzie głodny i na pewno zawsze wystara się o strawę dla współtowarzyszy.



Frankenstein vulgo Sołtys — drugi przydomek pochodzi od nazwy konia, zgryźliwego i kościstego, o którym nasz bohater może opowiadać we dnie, w nocy, w pozycji stojącej, leżącej, rozkrocznej, na baczność, podczas kruczego chodu, biegu na przełaj i t. d. Choć jest z zawodu chemikiem, a z zamiłowania wielkim człowiekiem od małej opozycji. Dlatego też bezustannie i bezskutecznie kandyduje na najbardziej kierownicze stanowiska. Śpiewacy — mamy trzech: operowy, towarzyski i podwórzowy. Śpiewacy improwizują na uroczystościach okolicznościowych, jak np. pierw-



szy kwitek na wiosnę, jeszcze jedna wspólna szafka, wyjście na miasto i t. p. W charakterze liryka lub obrońcy uciśnionych. Repertuar trzeciego nie nadaje się nawet do omówienia. Śpiewa on tylko w polówce, którą kupił aby w cywilu służyła mu jako czapka narciarska. Na poligonie ma zamiar zarabiać na odpustach. Śpiewak towarzyski jest znany również pod nazwą wesołego mecenasa. Zwalcza obóz gorliwców, komentuje bezpłatnie rozkazy, stacza home-





ryckie boje z „Lwem z plemienia Judy" i „Starszym Panem".

Starszy Pan — wzór gentelmana i urzędnika. Najlepiej ściera kurz, najładniej pachnie i najbardziej tęskni za drugą i trzecią belką.

Straszny Dziadunio — w czasach, gdy był u steru kwękał, zrzędził i dawał dobre rady. Potem już tylko zrzędził.

Szweik na tyłach — wybitny znawca hinterlandu, kolekcjoner książek, palcatów i sznurków.

Stóż nocny — funkcjonował po capstrzyku, w kancelarii i przy raportach z zażaleniem. Krzyczano za nim: zgasić tę gromnicę.

Karykaturzysta — pobłażliwy, z fają w zębach, on jeden wiedział, co to są sinusy.

Mandarynowie Wu — fotografowali, w wolnych zaś chwilach wysoki uosabiał chińską grzeczność (dzięki żółtej twarzy), niski — chińską mądrość (specjalność referaty ideologiczne).

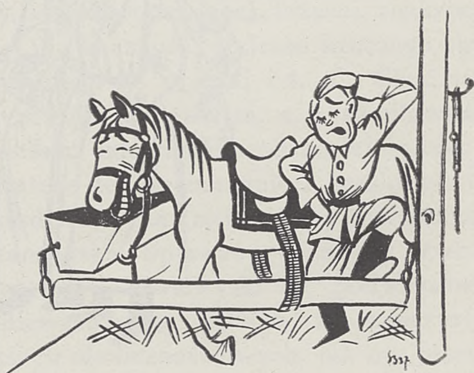
Trzódka cudownych dzieci — specjalność — granie na nerwach.

Prymus — w cywilu zapewne dobrze wyglądał, w gumówce, cyklistówce na prawo i jaskrawym krawacie. W wojsku spoważniał: czyta od początku roku Rzeczpospolitą Platona i ma piękny dosiad.

Resztę podam sumarycznie: Kastor i Poulks w rekonstrukcji dra Mabuze i cow boy a. Historyczny Dziadek Leśny, Dziąsło, Wrzaskun Znakomity, Watażka czyli Lopek, Kumka, Dobra Babunia, Kawaler Maltański.

21,30

Przede wszystkim gaśnie światło — capstrzyk. Jakby odzew, z głębi sali kilka głosów wykrzykuje na różne tony: kapstrzyk, capsztyk — i cisza. Kiedy wreszcie za oburzonym podoficerem dyżurnym zamknęły się drzwi, na łóżkach zawiązuje się uczony dyskurs Doktora



z elegantem izraelitą. Negus wygłasza przemówienie, wybuchają szatańskie chichoty, w końcu nabrzmiały powagą głos Świecy ostrzega: Niech ten tam się uspokoi...

Gdzieś z końca wściekle ujada jakiś szczeniak, a przy pierwszych łóżkach odpowiada mu basem brytan podwórzowy. W ciszy podziwia sal ten oryginalny dyskurs.

Myyyy — odezwała się krowa.

Przestańcie świecić latarkami.

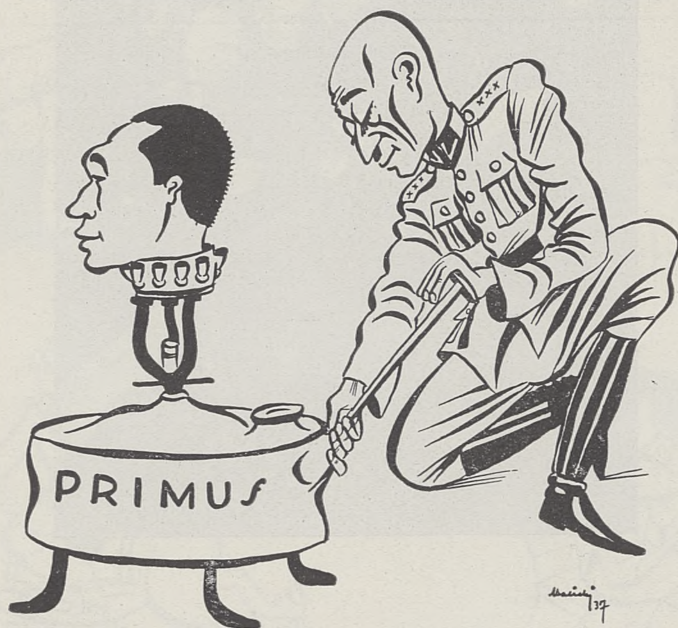
O, patrzcie, rzucają skórkami pomarańczy.

Krótki, długi, trafny — zimny głos obserwatora towarzyszy pociskom.

Do jasnej cholery... tu następuje długa litania niecenzuralnych przekleństw. Lopek gramoli się z łóżka na wyprawę wojenną z miotłą i pogrzebaczem.

Na krótki okres czasu pierwsze łóżka zamieniają się w krwawe pole bitwy.





Dwa potężne C.K.M-y: Dziki Mecenas i Staś Garkowienko ostrzeliwują polówkę Kamlińskiego. Armata Lopka i haubica Doktora odpierają skutecznie ataki krasomówcze z przeciwległej strony korytarza. A reszta niepowstrzymanym chichotem naśladuje granaty, wybuchające raz po raz chóralnym śmiechem przy każdej trafnej uwadze o polówce.

Za dziesięć minut wszsytko śpi, albo jak kto woli — wszystko mówi. Jeden służbowy nic przez sen nie mówi, śpi jak głaz.

— — krąg tyle, bęben tyle, wyceluj... mruczy sennie pod nosem Dworak, chłopię niepoprawne.

— Uu ajjj — wspomina zastrzyk na izbie chorych Taroni.

— Nie... to nie tak, sypie coś gęsto a radośnie Barwicki.

— Proszę ja ciebie — kłóci się właściciel polówki.

— Dominus vobiscum — błogosławi niedoszły kleryk.

Na korytarzu brzękły ostrogi służbowego, budzącego zmianę.



Jak sobie wyobrażaliśmy...



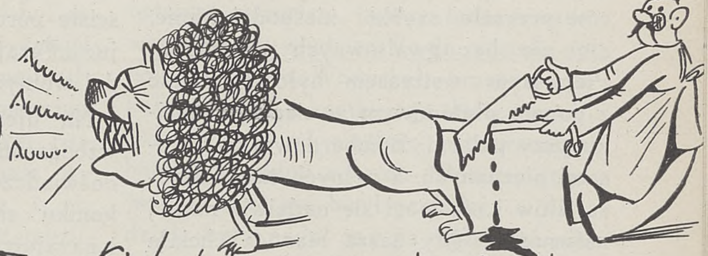
natarcie...



jazdę na ogonach...



widły wzwyż...



ryk /R.Y.G./ natychmiastowy...



rejon przodków...



zwarcie sprawdzone...

E—E—E—OWCY

W dawnych czasach, przepełnionych splendorem rycerskim, bohaterowie wstępowali w szranki przybrani w złote blachy i cudne piuropusze. E-e-e-owcy, jadąc do Włodzimierza (o radości, za darmo), uzbrojeni byli tylko w nadzieje różnorakiego rodzaju.

Pierwszy dzień na zielonej trawce wydawał im się miłym spędzeniem żywota, a że na dodatek kucharze opowiadali istne cuda o tym, jak się panów podchorążych karmi, bezwłosy cywil myślał sobie: dobrze trafiłem.

Przecież na stole będę jadał, z talerza, mleko leją do kawy, jest biały chleb. Jak to dobrze, że ptasiego mleka nie dają, bobym nie nabrał wigoru i tężyzny ducha.

Przeistoczenie z różnobarwnej kliki na „Wiernych i Wybitnych" E-e-e-owców przyszło szybko, niespodziewanie, ale nie bez gwałtownych wstrząsów. Pierwszym wstrząsem było spotkanie z panem plutonowym w ciemnym kąciku przy palarni. Bombardował nas stosami nieznanych, a pełnych tajemniczości słów i nie mógł się nadziwić naszej naiwności, gdy nasza stonoga chciała mieć dopasowane buty. Pytaliśmy tylko



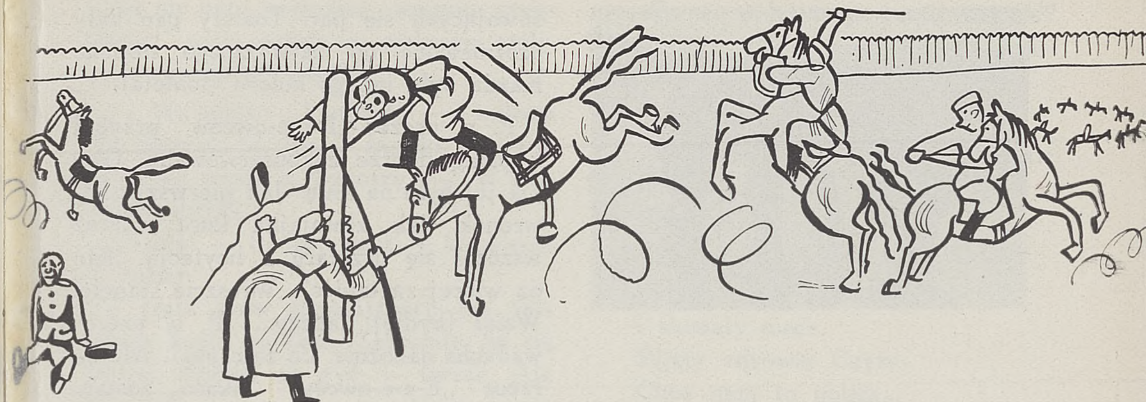


śmy jeszcze z cywila. E-e-e-owcy obwąkiedy dostaniemy ostrogi, bo te znalichiwali się zrazu nieufnie, nie mogąc rozróżnić własnych twarzy i karwaszy, opadły z nich włosy odsłaniając wzorzystą fotografię nagich czaszek. Każdy mundur był inaczej poplamiony, a każda furażerka inaczej była sfasonowana. E-e-e-owcy nie mogli sypiać. Rozłączona gromadki przyjaciół i kazano obcym zostać przyjaciółmi. Szybko powstały ściśle porozumienia i związki w rodzaju: „Ferajny" i „Braci Albertów", ludzi wolnych i niezależnych.

Na ujeżdżalni słownik nasz został wzbogacony nowymi pojęciami, a ciało doświadczeniami nowych urazów. Kto na koniku się siodła mocno nie trzyma i nazajutrz jęczy, proszony jest pięknie do karnego raportu, za świadome uszkodzenie własnego ciała, zababranie własności państwowej oraz za niepotrzebny wylew krwi.

Wreszcie po wielu trudach i tygodniach przyszły jako pierwsze jaskółki awanse na ostrogowców. Takowym p. o. prezes „E-e-e-owców" zezwolił spać w ostrogach, by zawsze pomni byli swej wyższości nad pariasami konnymi.

Regularnie dwa razy tygodniowo oglądaliśmy zorze, stając do zbiórki



końskiej toalety. Wciąż łudziliśmy się, że czyścimy kobyłę. Tak, przyznać należy, że nosiliśmy chleb i cukier, żeby nas nie kopano w podstępny sposób. Za pomocą łapówek w naturze zdobywaliśmy wiernych towarzyszy czworonożnych, którzy w czwartki świętują.

Aż nadszedł dzień, w którym nas można było zamknąć do paki. Dzień był radosny, choć zimny i blady od śniegu. Miasto roiło się nami. Panny rumieniły się wstydliwie (bo będąc w gimnazjum włodzimierskim, nie wolno nawet rozmawiać z podchorążymi) na nasz widok, a myśmy przecierali oczy i nie mogliśmy zrozumieć, jak to jest możliwe, że na świecie tak wspaniałe i cudne istoty chodzić mogą. A potem bractwo pisało do domów według rad instruktorów, że zgięli stałą linię przezierania i to kosztuje 150 złotych, oraz że zgubili azymut, a to kosztuje około zł 200.

Po pierwszym zasmakowaniu wolności zaczęła się powolna męka oczekiwania na urlop. Wiem, że na miesiąc przed wyjazdem wszyscy znali wszelkie połączenia i rozkład jazdy na wyrywki.

A że okres był gorący i aż roiło się od pytań i repetycji (najgoręcej było, gdy przyszywało się belki), rozgrzaliśmy się i podochocili tak, że z rumorem i tupotem rozniesliśmy po Polsce sławę oręża artyleryjskiego.

Pobożnie ze świąt przyjechawszy, kupiliśmy kalendarz, lecz nie po to, by notować co będzie, lecz co było, a nade wszystko, by wiedzieć, ile dni zostało do nowego urlopu. Wzdychało bractwo pod kalendarzem, a kartki jego tłuste i sprawowane były od ciągłego przewracania bombardierskimi rękami. Pomimo tego jednak czas nie biegł szybciej, a niedziele były nadal raz na tydzień i nie można było dostać przepustek, bo przecież zawsze coś szwankowało. A że był karnawał i Włodzimierz szalał strugami szampana, powstała kwestia szaserów. Wiele ich nie było, jedna para, ale „E-e-e-owcy" gremialnie po pięć, po trzy, zależnie od zabawy, wypożyczali gdzie się dało.

Jak Włodzimierz — SPRA, tak SPRA — Włodzimierzowi. Urządziliśmy Bal-Monstre, z orkiestrą z 29 ludzi, z saksofonem i piłą, z pianinem, z wy-



łamanym przodkiem i z dekoracjami na kształt saloniku z kominkiem i z kinkietami, schowanymi w mlecznej powodzi papierowych zwojów. Atrakcji na balu było wiele: papuga na drążku, świecznik pań, do których wolno było podchodzić i drażnić się. Bardzo to była miła zabawa. Najpierw poszło wojsko świętej Jadwigi, potem zastępy janczarów podhalańskich, mafia cieszkowiecka, paranie, a potem my „E-e-e-owcy". Poza tym były cudowne napisy: na kaltce od kontrabasów: „Nie drażnić zwierząt". Na spłowiałej wewnątrz gaglotce: „Nie ruszać eksponatów...". To z konieczności ograniczało koło siebie tłumy. Osią i napędem całości był bufet, zbudowany w okazałych i potężnych rozmiarach. Nie wiem czemu, ale panowała skłonność do mieszania koniaka z jarzębiakiem i czystą. Przypuszczam dlatego, że nic innego prócz piwa nie było.

Potem gdy balowicze wypili całą zawartość bufetu, zaczęły schodzić się panie. Po niektóre wysyłano umyślnych gońców. Inne przyszły samoczynnie. Jęto się bawić i tańczyć. Tłum fotografów z jupiterami i pustymi kasetami bez przerwy fotografował barwny wąż przesuwających się par. Toalety pań były urozmaicone do najwyższego stopnia. Każda była innego koloru (toaleta).

P. o. prezes „E-e-e-owców" przybył z panią dobrze zakonserwowaną. Gienia jej było na imię. Jak pierwszy skowronek, jak złotojajna kura. Zaraz wszczął się przetarg z licytacją „Kto da więcej za taniec". Wreszcie stanęło. Wziął (bydlę), tańczy... P. o. prezes wzdycha nabożnie. Co za czasy... Ale na rzecz „E-e-e-owców" inkaso zostało uskutecznione. Tamten miał pecha. Po jednej turze odbili mu Gienię i nerkę. Odtąd obwisłym okiem nie przestawał jej prześladować aż do chwili gdy „wzroki obu jego ócz" spotkały się nawzajem. Takowe mu zbielały. Skamieniał i musiano go przemocą odnieść do domu. Wkrótce potem zjawił się brat Bhuno oraz brat Strawny z podniesionym lewym... ramieniem i oznajmili przyprowadzenie pod konwojem dwu dalszych niewiast. Towarzystwo się ożywiło. Zatarli sobie ręce, obiecując sobie wiele uciech doczesnych. Brat Strawny jednak nie próżnował. Z gracją gibając swymi giczołami przy niewyrównanych czopach ramieniowych oddał się Terpsychorze.



By nie było monotonii „muzyką przyszłości" grały działa na zielonym stoliku o chwiejnych nogach.

— No jazda — komenda — i walono bez pardonu w zamki, zasieki i własną piechotę, wyjąć z rozkoszy — „W kierunku, krótki".

„Krótki — to jest wasz — kapujecie — rozum".

I grała krew strzelających jak igra młode koźlę po łące. Zachciało im się więcej. Chcieli się ryć — tarzać. Ale nie mieli w czym. I w tym Ogier zawołał do Czyża: Mchu mi, mchu mi, mchu mi dajcie.

Czyż, chcesz się paść — zawołał Czyż.

Złudę rzeczywistości chcę mieć na stole — omszałe rejony.

I poszli po mech.

Już na bramie wzbudzili podziw swojego szefa.

— To wy w lutym po mech idziecie? No to idźcie, tylko zanadto się nie upijcie.

— Kiedy panie st. ogniomistrzu...

— Ta, ta serdeńku, ja już wiem, jakie to mchy w lutym.

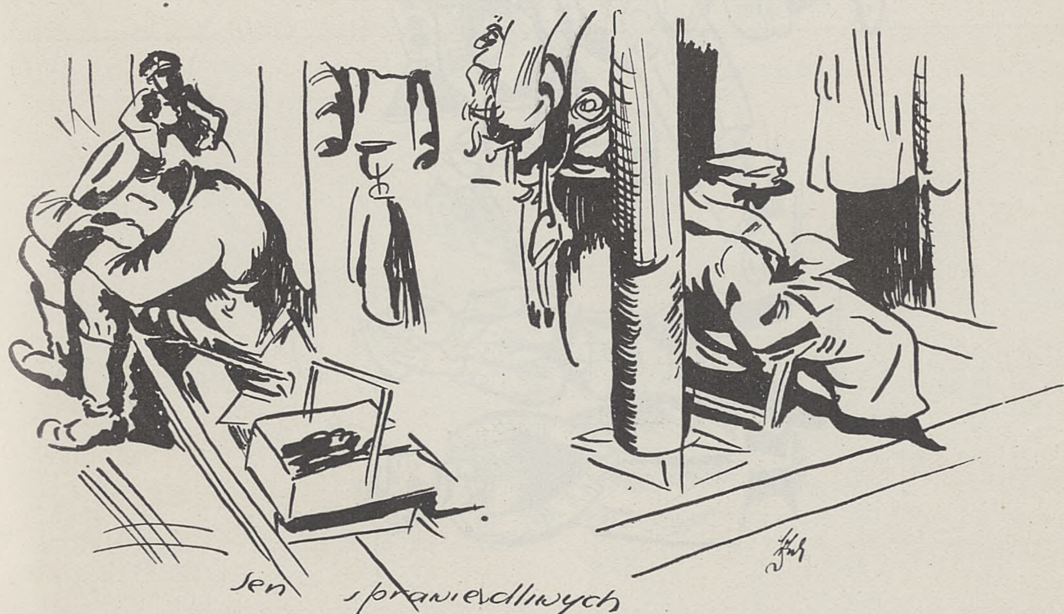
Szli z piosenką na ustach:

Pocztowe gołębie —
Siedziały na dębie —
i skubały mech.
Pijmy zdrowie Czyża,
Choć nam to ubliża...

Te same „mechowate piosenki" śpiewali „Pod strzechą". Wreszcie na starej karczmie pod „Konogokiem", którą już ząb czasu dotknął swoim palcem, odkryli dziewicze brody mchu.

Więc do korda... I akordowo jęli rąbać.

W zapale niepohamowani obcięli omszałą brodę zzieleniałego ze strachu



osobnika wyznania mojżeszowego. W szale tym i zapamiętaniu obcinali by tak bez końca, gdyby nie to, że Ogier dostał czkawki i jął łykać. Spętali go więc w łyka i wiedli przez uśpione miasto, choć im wymyślał od łyków i pętaków. Dzięki tej ekspedycji powstała najwspanialsza strzelnica dla postrzeleńców.

Bomb. z c. Leon Teroganian



«WALECZNA»

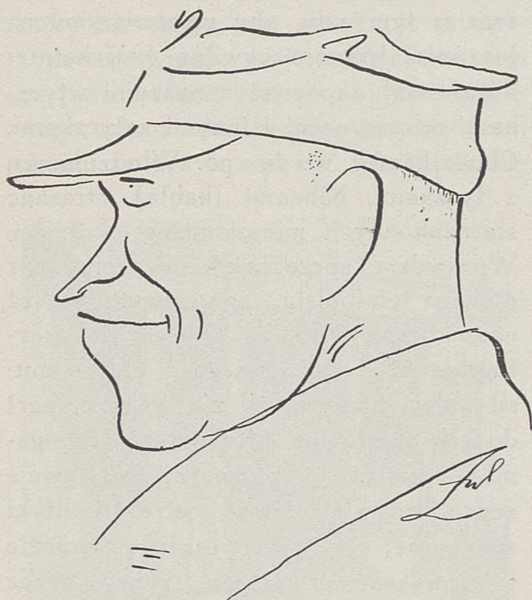
Widzę was wszystkich stojących w szeregu, idących do jadalni, palących w palarni — i kiedy pamięcią szukam waszych rysów, do każdego z Was przyczepia się uparta myśl, że mimo oddalenia, które nas obecnie dzieli, jesteście mi bliscy — bardzo bliscy. Wielu spośród was już nie zobaczę, wielu zapuści potężne czupryny i nie będzie już debatowało nad kwestią czy ostrzyc się „jedynką" czy „zerem".

Pamiętacie „Waleczną" — genialną w improwizację, u której najbardziej wyrafinowane dawanie w... skórę powodowało wynik wprost przeciwny zamierzonemu — ale poza tym społeczność, w której jedno słowo podniecające ambicję dawało nam impuls do najbardziej fantastycznych wyczynów. Tak, bardzo fantastycznych. Bo czy pamiętacie „waleczni" mężowie rozliczne maskarady naszego „Fikołajki", który nie mogąc nas przekupić mitycznym zegarkiem z wodotryskiem, w ciągu paru sekund ubierał nas na służbowego „kanonika", aby w następnej chwili zanurzyć nas w odmęty „klasztornych koszul". Trzeba tutaj nadmienić, że owe koszule charakteryzują się specjalnym fasonem włodzimierskim i spełniają rolę koca, ręcznika, piżam i reprezentacyjnego stroju po capstrzyku. W tych to koszuliskach odbywały się owe sławne „blansomttogi", albo inaczej noce weneckie z latarkami, polegające na tym, że przy każdorazowej zmianie p. o. szefów w ostatnią sobotę ich kadencji dziać się powinny i rzeczywiście działy się przeróżne szaleństwa. Wtedy to wszyscy razem i stare lorbasy i młode gołowąsy we wspólnym bachicznym korowodzie wiedli opętańczy tan po działonach. Kępki słomy, wiązane sznurkiem, a szumnie zwane miotłami, grały rolę pocisków. Były również innego typu pociski — pamiętacie ten zepsuty ser, który w takich godzinach latał po sali, aby co chwila lądować z głośnym klapnięciem na którejś faciacie. Nie można też tutaj pominąć tych mnogich mendli jaj, które rozbito o wezgłowie jednego z p. o. szefów, zwanego popularnie „Rupkiem". Dodać należy — nie wszystkie jaja były świeże. Do serii p. o. szefów zaliczyć należy t. zw. Eierkopfa z nieodłącznym przy jego boku King of Polesie, zwanym inaczej Piecholem. Tenże „Eierkopf" miał chód tak specyficzny, że nawet nasz złoty „Szczepan" nie potrafił go należycie oddać. A robił przecież ten „chrómski pieron" poniektóre osoby doskonale. Przypomnę tutaj popularną serię, a więc tego dyrektora gimnazjum, który mówił „ne ma, nema" i Miodusza z jego charakterystycznym „spoczniijj", a sławnego kulawego Kostka ze stałym pytaniem: „Adam — masz śmika?". I wreszcie robienie śpiewającego „Kancelisty" z wyłupieniem oczu i z piskliwym fal-



setem. Prócz tej serii zwykłej miał Szczepan w zapasie zawsze serię nawałową, uliczną, polegającą na naśladowaniu „naszego Kobyłki". Ileż łez serdecznego śmiechu wycisnęła nam ta „gospoda pod batem", robiąc ruchy lub przemowy, owe słone przemowy, zaczynające się niezmiennie od: „A więc...". Niezły był też w interpretacji pierona pan kapitan Sacha z kapitalnym wysunięciem wargi z marsem na czole. Każdy występ „Szczepana" kończył się zawsze jednakowymi słowami: „Dajcie mi żyć" i dla każdego z „Walecznej" zwrot ten posiada mocno dwuznaczne znaczenie. Wybacz mi Szczepanie i to rzucanie w ciebie kaszą(...) i zniknięcie twojej nieocenionej musztardy. Dla wica, bracie, dla żartu. Czy muszę tutaj wam, walecznym, przypominać sławne przygody kanoniera Ogóra, który to „właśnie miał za zadanie" budowanie linii i „właśnie bardzo dobrze to zrobił" (czasem nawet „zupełnie trochę wiele lepiej"), albo Ignaca i Karola, którzy zostawiwszy swoje szaty przeciwiperytowe poszli na święto Jordana do Kowla. „Miałem w pułku takiego kanoniera, nazywał się, nazywał... aha Heft się nazywał" — tak zaczynała się każda pogawędka. A ileż wspomnień przyjemnych, mniej lub więcej nasuwa się nam na myśl o gimnastyce i tych przedziwnych łamańców, któreśmy robili. Owe sławne w całej szkole „Fikołajki", „Kobyłki" i „małpie skoki" były początkowo zmorą, a potem parodią gimnastyki. Pamiętacie „Rosjojca jaśminowego", jak z wielkim rozpędem szedł na kobyłkę, aby wierzgnąwszy nogami usiąść na ziemi. A przeróżne okrzyki „nie rusz, dobre było, nogi wyżej, gdzie lecisz?", dodawały swoistej wesołości całemu gimnastycznemu obrzędowi. Dzięki oryginalnemu systemowi treningu doszliśmy w ćwiczeniach piłki nożnej i koszykówki do takiej perfekcji, że w końcu nie wiadomo było, kto z kim gra, a na zakończenie jeszcze parę zbiórek, których cała umiejętność polegała na okręceniu się koło osoby przełożonego. Tumulcik, który wtedy powstawał, był niezgorszy. O, święty kraju nasz, lub „Kochane Łóżko z białą poduszką". A pamiętacie emocjonujące chwile meczów w koszykówkę, których wynikiem było mistrzostwo Szkoły. Tego małego wszędobylskiego Haczka, tyczkę Szmidta, kłótliwego Dzerowicza czy Nehreba i Zawodnego (tylko z nazwiska). A ten sławny mecz z „Czwórką", wygrany różnicą jednego punktu. A pamiętne godziny łączności w czasie, których podawaliśmy sobie najlepsze kawały na fonogram i owe przeróżne służby ruchu, polegające na łączeniu się stacji, które właśnie z sobą nie chciały rozmawiać. Nieraz wychodziliśmy poza teren koszar w tym celu, aby nieuświadomioną łączności ludność cywilną (najchętniej niewieścią) zapoznać z naszymi wtyczkami odzewowymi i innymi zatyczkami. Chodziliśmy wtedy po Włodzimierzu z tyczkami, bębnami (kabla), strasząc starozakonnych mieszkańców i dzieci. Wprawdzie sprzeciwiał się temu nasz główny telefonista, sprzeciwiał się też nasz kochany „D. S." wszelkiemu kartograjstwu. Od jednego z nas wymusił słowo honoru, że nie weźmie kart do ręki i chłopak próbował grać nogami — niestety — partnerzy gwałtownie zaprotestowali. Mimo ostrej polityki sankcyjnej bridżyści czuli się nieźle i zazwyczaj czwartego szukali przez służbowego. O, błogosławiony drugi.

Ileż robrów tam odstawiono, ileż gąsiorów wysączono. To była nasza przystań, do której wpływał okręt naszego samopoczucia burzliwego morza porządków, dodatkowych zajęć, na ciche wody słodkiego „nicnieróbstwa". Byli tacy, co brydżowi hołdowali (oj, Dziadziu inż. Błotny czy Peryczu), lecz byli i tacy, co nie gardzili krzepiącą ducha „gangreną", zwaną w narzeczu kantyny — „Czystą". Wymienić tu trzebaby było nader liczne grona, lecz wymieniam tylko poniektórych asów butelkowej magii. Berło pierwszeństwa przypisać należy tutaj arcymistrzowi herbu Poraj, który z podziwu godną zawziętością regularnie tępił alkohol, nie bacząc na rozpacz „najukochańszej kobiety świata" i reszty „nielichych dziw", które listownie błagały go o kęs uczucia. Był nieubłagany tak samo, jak nasz grubas ponury, Celownikem zwany, który idąc śladem przodków, stale miał wystawioną własnym sumptem baterię w szafce.



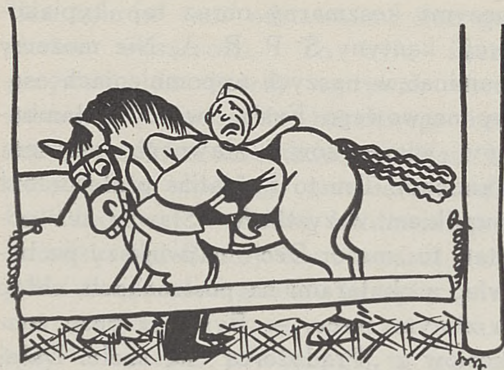


Widać przejął się hasłem obrony państwa. Dalsze miejsce z kolei dzierży może nie co do częstotliwości, ale co do buńczucznego usposobienia w stanie opilstwa nasz „Lewandzio". Było to chłopię spokojne i bogobojne, lecz bies w niego wstępował, kiedy zajrzał do butelki. Pamiętacie wszyscy ten sobotni wieczór, kiedy wyżej wspomniana jednostka opilcza, przyszedłszy z miasta, rozszalała się niebywale. Leżał na łóżku swym, sromotną niemocą złożony, a jeszcze musiał rzucać w twarz swymi inexprymablami i to komu?... Był w tych momentach heroicznie rozkoszny. Następnie idzie nasz „Kindzia", mistrz glansowania butów, szabli, ostróg i innych rzeczy, które skarbu są. Wychodził on z założenia, że „raz a dobrze". I dla-
on z założenia, że „raz a dobrze". I dogodził sobie nielada. Jeszcze teraz widzę go, jak łyka powietrze jak rybka bez wody. Łykał, łykał i trzeba go było wynieść na izbę chorych, gdzie dzięki misternej mistyfikacji stwierdzono... czyraki. Tam wszystko jest możliwe. Reszta „ożralców" tworzyła zorganizowane klany i popijała zgodnie lub nie różne spirytualia, a w braku normal-

nych i leczniczy spirytus, wyłudzony od miejscowego cyrulika. Tutaj wymienię klan „warszawistów", w składzie: Dziadzio, Piastkownik (Sandman), Bogutek, Głogocz, i zawsze Młodzian. Następcom naszym możemy polecić pierwszorzędny krupnik, specjalność Typiak. Silne jak plut. Kowal — a gładkie jak plut. Wawrzyniak. Dla całości opisu trzeba dodać jeszcze „Obsługę" w osobach znanego ogólnie p. Stasia i p. Sadowskiego. Ci to mężowie, mając na względzie wyszkolenie nerwowe swoich klientów, krzątali się wszędzie tam, gdzie ich nie było potrzeba, a ginąc w chwilach, kiedy byli pożądani. Polecamy im na przyszłość zakup większej ilości pięciogroszówek. Nie gardzili też „napytkiem", zawsze nas zabawiając i dlatego wybaczamy im wszystkie sznycle podane zamiast zamówionej herbaty. A jeśli zechcesz sobie przypomnieć „prywatne" życie we Włodzimierzu, to zamów sobie sałatkę „włoską", oblej oliwą, a stanie ci przed oczyma koszmarny obraz tej „typiakowej" kantyny S. P. R. A. Nie możemy pominąć w naszych wspomnieniach osoby nerwowego Fusia, twórcy kalamburów, wierszyków i sławnego reżysera akademii. Ten to Fuś alias profesor był pupilkiem wszystkich. Sławna też postać, to „major Dec", największy pechowiec z okularami na postronkach, chłop o złotym sercu. — Było też paru żonkosiów z „Prądożercą" na czele. Dalej ojciec Pyzeusz mający wysokie koligacje połączone z dobrymi kolacjami na kolonii oficerskiej, Domańskiego, który z larami i penatami do Włodzimierza się przeprowadził, a nawet się tu rozmnażał. Są też kryptożonkosie, których incognito dotąd jest zachowane, a tylko ludzie wtajemniczeni wiedzą, że coś w trawie, a nawet może w kołysce piszczy.

Są też prawie żonkosie, z grubym, który swe serce w Małkini postradał, na czele.





Wspomnieć też trzeba o sławnej parze Pasebruńcio - Skibeusz, walczącej z wrogami przy pomocy śledzi w zagłówkach — mistrzów w „pryskaniu na lewo" do miasta. Godni swych przyjaciół, batiarów z Łyczakowa, a dalej „Tryperycz" z zapytaniem do pana kapina, Jasiu „Brunsted", będący w ustawicznej walce z plut. Wąsikiem o onuce i inne sorty i pokazujący wciąż swoje ja plut. Kowalowi, który jak to mówią, nie wiedział sobie z tym człowiekiem rady. Jasiu miał rekord w noszeniu wody i wynalazł nową postawę „zasadniczą" z samowarkami, z którą walczył zawzięcie pan porucznik. Mamy też grupę sportowców z pływakiem rekordzistą „Bogutkiem" na czele — „Apolio", „Zeczowin", „Bartonek-Telefonista" „Tećko" i sławny koszykowiec „Haczyk". Z tą całą bandą beznadziejne boje staczały nasze władze: pan kapitan Wisławski zawsze twierdził, że jestem zakonny artylerzysta i że jeżdżę na parze dyszlowej, a na przodek za nic w świecie nie wsiądę. Wypad do miasta ze mną na czele źle się skończył. Po długich nadziewkach ruszyliśmy wreszcie jakoś kilkoma fiakrami w kolumnie zdwojonej. Po zajechaniu przed koszary z trudem wydobyliśmy się z ekwipażów, gdy któremuś wypsnęła się nierozsądna komenda: „Wyprzęgaj". I znowu zmagania rozpaczliwe z dryndziarzami, przerwane nawoływaniem wartownika, że już po 20,30. Wsunęliśmy się cichaczem do furtki; niestety, jakoweś groźna postać przy szabli i z paskiem pod brodą zaangażowała nas do działoczynów przy armatach, stojących (dla ozdoby tuż tylko) u wejścia. Zziajani wpadliśmy do koszar. Myślałem, że choć w niedzielę żołnierz odpoczywa. Gdzie tam. Oto huczy mi we łbie i czkawka mnie trapi...

Bomb. z c. Bohdan Komorowski



O LEAT Z KRZYWEGO ZWIERCIADŁA



Lekwety. Jakie wesołe towarzystwo. Pensjonat — psiakrew!!! Tak. Pensjonat. Nazywają nas tak, bo nie czyścimy dział. Telefonów nie ciągniemy. Śmiejemy się wciąż, żyjemy jak w pensjonacie. W pensjonacie o nazwie: „Koszary", leżącym, jak „Chandra Unynska" daleko — w uzdrowisku: „Włodzimierz". Nie wierzycie?! Przypatrzcie się bliżej tej garstce. Spojrzyjcie na jej życie. Zezem. Przez dziurkę od klucza. Z ukosa.

— — — — — — — —

Palarnia. Gwar kipi. Rozmowy śmiechem. Radio. W kącie piosenka falsetem. „Kuliga" się poszept wokoło. Tam i z powrotem. Na „chodniku" Słoń. „Rozwydrzył się". „Garmoli" się na „Jelenia". Gwałtem. „Dudek" z „Czyżykiem", „Cwirynkalą" półtonem. Wiosennie. W oddali p. o. prymus szumi wiadomościami. Zbysiu, że nie dostał repety. „Baleron" zapycha „Roszkiem". „Kowal" przyszywa „Krawczykowi" guzika. „Cieśla" tłumaczy „Kowalowi" fabrykację podków. Mister „Czendzlowi" „kosiato" w brzuchu. Bo zamiast ciastka: mydło. No i „Bida". „Babik" redaguje antyfeministyczny artykuł. Warcaby bez przerwy. O mistrzostwo. Nie dosyć?

— — — — — — — —

Ujeżdżalnia. Uśmiechy znajome. Deptaki, Wisusy, Eszelony. Błoto wstęgą. Przy bandzie łoza. Jedna. Wystarczy. Wyrwa z szeregu wyrywa. Przez przeszkodę jak owca. Na cztery nogi. Cięcia — jak brzytwą masło. Powietrze psuje się ze śmiechu. „Do luftu" — „ta ręka" — „gdzie ręka"?... „jak tak ręka" — „Ręka po wodzach", Dowódca Lekwetów kp.t „Wujcio" na cały głos. Z końcówką: „wysokie C"... i za Tulipanem. Z kijem. Koń murem. Anielski przydomek z ust kpt. Kizia strzałą przez uszy. Działoczyny na różowo. Porcja zadowolenia. „Ślimak" pokryntłem w prawo. Zgrajemy poziomnicą. „Całki plon do tyłu przy odrzucie". Dwa koła na ziemi. To jest armata. O mój Boże... Łóżka, zagłówki, taborety, szafki — pod sznurek. No to co? To zrobicie... szef.

To były wycinanki. Radosne. Cienie fotografii na ścianie. Otwórzcie teraz oczy. Wyostrzcie wzrok, jak nóż na kamieniu. Ambulans. Poznajesz? Twarze z roześmianej sali. Te same, tylko oczy z uporem. Pięć minut — piętnaście — jeszcze pięć — ręce, ręce szorują. Gotowe. Gaza. Steril. Chloroform. Konie. Jeden, drugi, trzeci. Szeregi biedaków. Ropnie. Rozdarcia flegmony. Ks. Kneipp z Besredką uśmiechają się do nas przyjaźnie. Tak O. K. podaje. Łacina z jodoformem.

Bo to są nasze działoczyny. Rozwarcie osi? — nie. Rozwarcie brzegów ra-

ny. Kompas? — co znowu. Sonda wgłębiona w bolesność. Krąg 100?... Rivanol 1:1000. Celownik?... obiektyw immersją w skrawek preparatu.

Jednakowe mundury nosimy. Jednakowe orły na czapkach lśnią. Jedna myśl nas rozpiera. Co zda się buchnie przez usta — krwią. W jeden takt serca nam grają. Gorąco. I tak jak „Wy" z Palów czy Daków, z Paców czy Panów. Tak jak Wy, ciężko. I my. Z żołnierskim hartem. Pracujemy znojnie. Jednej. Tej — „Co nie zginęła". Choć bronią trochę lżejszą od haubic: strzykawką i skalpelem. I choć nam w wojsku — jak mówicie: psiakrew — tak, jak w pensjonacie.

Pchor. lek. wet. Laskowski Ryszard



1. Od konia nigdy nie jest za daleko.

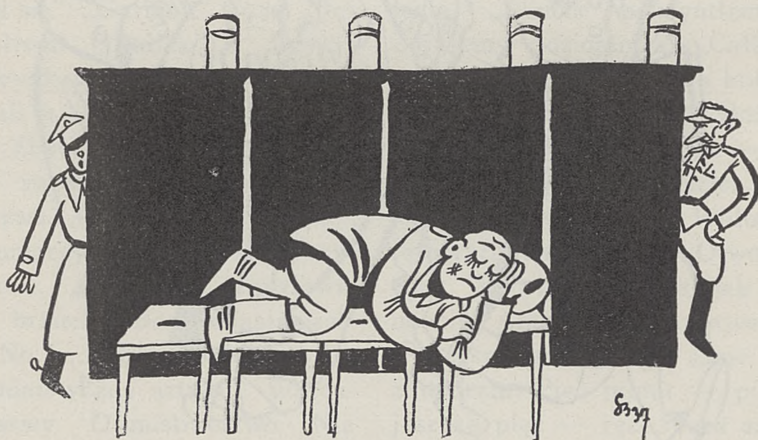
2. Powiedz mi ile razy czyściłeś działa a powiem ci kim jesteś.

3. Nie taka straszna Instrukcja jak ją Czyszyn wykłada.

4. Prędzej mi pelargonia na dłoni wyrośnie nim wyjdę na miasto — powiedział bombardier, widząc na bramie st. ogniomistrza Blocha.

5. Szukasz wrażeń — idź z siennikiem na wartownię.

(—) Pięcioraczki kanadyjskie





ZAKŁADY DRUKARSKIE
F. WYSZYŃSKI I S-KA
WARSZAWA, WARECKA 15



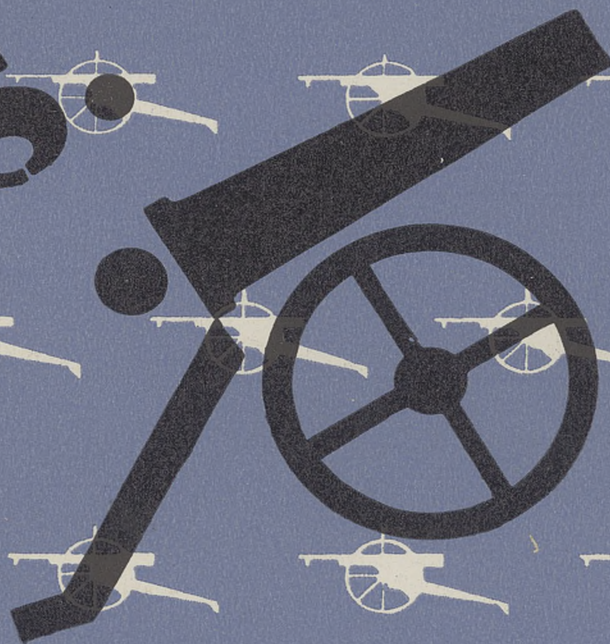





























S. P. R. A.

1936 1937